

Brutalny boks: ręce + nogi !

STR. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0117-7128 NY 1008850 5027

Kamena

NR 3 (849)

9 lutego 1986

Cena 15 zł



Co z naszą architekturą?

STR.10

AIDS zjawisko społeczne

STR.5

Obłęd Kaliguli

STR. 4-5

Danina od psów

STR.11



Gumowe, nadmuchiwane atrapy czołgów z łatwością podnosiło czterech ludzi...

STR. 9

Zofia Luchowska-Kuna

jak wściekły
ujada kundel
lach jakiś za moimi plecami,
bo nieczłowiek

i coraz to dopada
zdradziecko i potajemnie
był bliżej moich stóp
lecz naprawdę zęb u niego
dawno zwiędziały
kasać nie może

Słuchając po drodze
sobaczy skowyt.
Nie odwracam się,
bo coś mam
mu współczuć
i ratować przed sprawiedliwością wyroku.

I dopiero jutro
w kronice wypadków
prze czytają mi o tym
moi zyczliwi znajomi,
bo ja nie czytam
brukowych popołudniówek.

Dalsze wiersze — na str. 7.

Działaleś w organizacjach młodzieżowych? Opisz to!

SZAFETA pokoleń — zrodził nas czyn! Pod takim hasłem Wojewódzka Komisja Historii Ruchu Młodzieżowego ZW ZSMP w Lublinie w porozumieniu z Lubelskim Oddziałem SD PRL, Wydawnictwem Lubelskim oraz redakcjami: „Sztandaru Ludu” i „Kamienia” ogłasza konkurs na wspomnienia z działalności w organizacjach młodzieżowych.

W konkursie mogą wziąć udział wszyscy uczestnicy ruchu młodzieżowego z Lubelszczyzny (w jej ramach te rytorialnych sprzed 1973 r.). Jury, którego skład zostanie podany osobno, przyznają: I nagrodę w wysokości 50 tys. zł, dwie drugie po 25 tys. zł, trzy trzecie po 15 tys. zł, a także wyróżnienia po 10 tys. zł. Prace, oznaczone godłem, przepisane na maszynie (badź w czytelnym rękopisie) należy nadsyłać do Woj. Komisji Historii Ruchu

Młodzieżowego ZW ZSMP (20-074 Lublin, ul. 22 Lipca 7) w terminie do 30 kwietnia 1984 r. Do pracy (objętość w zasadzie do 30 stron maszynopisu, mile widziane dokumenty i fotografie, które będą zwrócone po wykorzystaniu) organizatorzy konkursu proszą o załączenie zamkniętej koperty, oznaczonej godłem i zawierającej wewnątrz kartkę z nazwiskiem, imieniem i adresem autora. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w lipcu br.

Nagrodzone prace będą wykorzystywane na łamach prasy, a — być może — i w wydaniu książkowym. Oczywiście jury zastrzega sobie możliwość innego podziału nagród, ponieważ z góry nie można przewidzieć, jak będzie poziom prac. Pod uwagę będzie się brało przede wszystkim ich wartość faktograficzną, autentyczność, szczerść wypowiedzi.

Tematyka konkursu jest bardzo obszerna: losy młodego pokolenia w Polsce Ludowej, wkład młodzieży do rozwoju socjalistycznej Ojczyzny, portret pokolenia, a właściwie już dwóch pokoleń. Można opisywać osobiste przeżycia zarówno z całokształtu działalności, jak też i wybrane fragmenty z życia własnego, z życiorysów kolegów. Chodzi przede wszystkim o wypowiedzi szczerą, a nie o warjacje literackie nadsyłanych prac.

Organizatorzy zapraszają do udziału w konkursie działaczy wszystkich organizacji młodzieżowych — od ZWM do obecnie istniejących. Dodatkowych informacji udziela Wojewódzka Komisja Historii Ruchu Młodzieżowego ZW ZSMP (adres podaliśmy wyżej).

Polemiki

Jak szczerze to szczerze!

Marek Adam Jaworski

Ponieważ kierownictwo „Sztandaru Ludu” odmówiło wydrukowania niniejszego tekstu, stanowiącego replikę na artykuł Matyldy Welny, zmuszony jestem opublikować ją odpowiedź (z dwiema drobnymi poprawkami) na łamach „Kamienia”. Nie będę ukrywał, że ta odmowa i zaskoczyła mnie, i zabolala: ponad ćwierć wieku temu przez prawie dziesięć lat pracowałem w „Sztandarze Ludu”, tam też m.in. uczono mnie, że w spornych kwestiach, które — jakbyśmy dziś powiedzieli — nie naruszają porządku konstytucyjnego PRL, należy również prezentować poglądy drugiej strony, zresztą w myśl zasady starożytnych Rzymian: *audiat et altera pars*.

W „SZTANDARZE LUDU” z dnia 24 stycznia br. ukazał się tekst Matyldy Welny pt. „Ludno i gwarno”. Ponieważ w tym tekście poświęciła nieco uwagi „Kamieniu”, które to pismo od 21 lat redaguję, oraz, marginesowo zresztą, i mojej osobie, czuję się w obowiązku jej odpowiedzieć, a może nawet nie tyle jej, ile Czytelnikom „Sztandaru Ludu”. Redakcja „Sztandaru” (świadomie lub nie, ale to jest bez większego znaczenia) umieściła rozważania Matyldy Welny na czołówce trzeciej strony nie zastrzegając się jednak, że artykuł ów traktuje jako dyskusyjny. Mam więc prawo przypuszczać, że gazeta identyfikuje się z poglądami autorki, aczkolwiek nie wchodził ona obecnie (a przed laty wspólnie pracowaliśmy w „Sztandarze”) w skład jej zespołu redakcyjnego.

Oczywiście mógłbym udzielić riposty na łamach „Kamienia”, ale, jak wiadomo, nakład „Kamienia” — dwutygodnika, jest niższy niż nakład „Sztandaru Ludu” — dziennika. Inny jest również zasięg oddziaływania naszych pism, toteż wolałem wybrać tę właśnie trybunę. Dodatkowym elementem stał się fakt, iż Matylda Welna powołuje się na otwarte zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich i „Kamieniu”, na którym to zebraniu, na ogół z serdeczną troską, mówiono o teraźniejszości i przyszłości „Kamienia”, a nastąpiły, tak — napastliwy! — głos Matyldy Welny zabrzmiął jak dysonans. Było to dla mnie o tyle przykre, że nigdy nasza redakcja nie dyskryminowała jej twórczości, ale to temat sam w sobie. Niemniej tego głosu, prawda — stonowane dobiegło teraz na łamy „Sztandaru Ludu”, więc, siłą rzeczy, przekroczył sędziwą granicę Literatów na Granicznej.

Matylda Welna pisze, że Lubelski Oddział ZLP proponuje, aby „Kamień” przekształcić „na tygodnik literacko-kulturalny” (czyba w tygodnik?). Ścisła redakcja proponuje tak Matylda Welna! Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby po pierwsze: w Lublinie istniało zaplecze literackie o wszechstronnym — że tak powiem — warsztacie, o wszechstronnych zainteresowaniach, i po drugie: gdyby nie twarde prawa rynku, z którymi każdy wydawca i każda redakcja muszą się liczyć. Nie wystarczy bowiem, by określona liczba egzemplarzy opuściła drukarnię, pismo musi zdobyć nabywców, albo jeszcze dosadniej — kupców, bo też jest ono, jak

szlusznie zauważa „Veto”, towarem! Nawet tygodnik, który już w samym tytule ma przymiotnik literackie („Życie”), czy miesięcznik z rzeczownikiem literatura („Literatura” przez duże L), nie zajmuje się jedynie propagowaniem twórczości ludzi pióra z wyższego czy niższego Parnasu, ale podejmuje również, a może przede wszystkim, problematykę społeczno-kulturalną. Np. w czwartym nrze „Życia Literackiego” na szesnastej stronie jedynie pięć (raczej niecałe pięć) można by za „literackie” uważać. Pobożne życzenia Matyldy Welny więc tu nie wystarczą, życie trzeba brać takie, jakie jest, choć wcale to nie oznacza, że nie należy życia zmieniać. Ale jak? Jeśli Matylda Welna wie, czekam na konkretne, udokumentowane, realne propozycje. I chyba nie tylko ja.

Autorka stwierdza dalej, że „Kamień” nie spełnia obecnie oczekiwań lubelskich środowisk twórczych, naukowych i kulturalnych i mimo że stale drukuje teksty „pod publiczność”, ma poważne zwroty i nadal, w dobie kryzysu, jest poważnie dotowana. Nieśwety, jakie teksty ma na myśli, nie precyzuje, nie wiem również o jaką jej publiczność chodzi. Nie chciałaby może, aby „Kamień” pisała o komedie Halleya? Zamieszczała wywiady ze sportowcami? Przypominała tajemnicę drugiej wojny światowej? Zajmowała się komputerami? Nie jestem w stanie trafić w gust Matyldy Welny i nie redaguję pisma wyłącznie dla niej. Zresztą niech Matylda Welna weźmie do ręki chociażby bydgoski tygodnik społeczno-kulturalny „Fakty”, którym kieruje redaktor — literat. Znajdzie w nim i „Ogród rozkoszy”, czyli erotyzm w literaturze dawnych wieków i „Horoskop paryski” i „Gości z Kosmosu” (już 488 odcinek!). Jan Górec-Rosiński który o kilka lat dłużej kieruje „Faktami” niż ja „Kamienią”, wie dobrze, że ktoś kupi jego pismo dla „Horoskopu paryskiego” i może przy okazji przeczytać wiersz np. Wincentego Różańskiego.

Co zaś do stwierdzenia Matyldy Welny, że „Kamień” nie spełnia oczekiwań lubelskich środowisk twórczych etc. (na 12 stronczkach raz na dwa tygodnie!!!), to mam pytanie, czy autorka może mówić w tym imieniu? I tu uwaga pod adresem samego „Sztandaru Ludu”: gdyby ktoś napisał do „Kamienia”, że „Sztandar Lu-

du” nie spełnia oczekiwań członków partii i ja bym to stwierdzenie wydrukował, czy wówczas redaktor naczelny „Sztandaru”, Tadeusz Fita, nie miałby prawa poczuć się dotknięty? Zwłaszcza, że ma do dyspozycji kilkanaście razy więcej miejsca niż „Kamień”!

Oczywiście nie neguję faktu, iż „Kamień” wydawcy dochołu nie przynosi, ale kiedy RSW „Prasa” w 1966 roku ją przejmowała, z góry wiedziała, że nie będzie ona złotym jajkiem. Deficyt „Kamienia” (odpowiednie dane posiadam) jest jednak mniejszy niż deficyt pism podobnego typu, również zwroty mają one pokazniejsze, czasami przy niższych nawet nakładach.

Gdy jednak mowa o pieniądzu, o które tak troszczy się Matylda Welna, to przypomnę jej za „Polityką” (nr czwarty, warto czytać prasę!), że Festiwal Oratoryjno-Kantatowy we Wrocławiu ma kosztować 110 milionów złotych, Festiwal Sopocki — 86 mln zł, a w gruncie rzeczy, skromna Warszawska Jesień Poezji — 20 mln zł. Dopłata na „Kamień” to przy tych sumach równowartość sześciu wiejskich weselisk. Zresztą do którego pisma społeczno-kulturalnego nie trzeba w Polsce dopłacać? Może do „Tak i nie” (Katowice), ale tam i rynek inny, no i „Tak i nie” zbytnio literatów nie holubi.

Tematu „pieniądze” jeszcze nie wyczerpałem. Matylda Welna w swym artykule pisze m.in.: „Chcę napisać szczerze i bez osłonek”. Jak szczerze, no to i ja szczerze przedstawię mój punkt widzenia. Matylda Welna, lkając nad dotacją dla „Kamienia”, pochwała zarazem inicjatywę wydawania debiutanckich zbiorów poetyckich w Lublinie. Ja też głoszę w tym wypadku ZA, choć stosowałbym większą selekcję, ale dobrze jest, jak jest. Autorka ani słowem nie wspomina jednak, iż owe zbiorki też kosztują, nie wydają ich młodzi kandydaci na poetki i poetów własnym sumptem, jak to drzewiej bywało. Jeden taki zbiorcik, podkreślam: jeden — to 218 tysięcy złotych z kieszy Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego. Jeśli dobrze pójdzie, czyli jeśli wszystkie egzemplarze znajdą nabywców, zwróci się 50 tys. złotych, choć jest to suma chyba zbyt optymistyczna. A czy Matylda Welna sądzi, że jej książki, które ukazały się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego, przyniosły temuż wydawnictwu jakikolwiek dochód? „Polne kamienie” (opowiadania) miały 5000 egzemplarzy nakładu, „Ponad życie” (powieść) — 10 000, „Coektail narodowy” (opowiadania) — 3000, „Tryby” (powieść) — 10 000, „Szaleńcy i nawiedzeni” (separataże) — 5000, „Podwórko” (wiersze) — 800, „Nie zabijajcie poetów” (wiersze) — 2000. W sumie siedem pozycji, ale ja w tym miejscu pragnę bardzo nieśkromnie zauważyć, że moja powieść „Drewniane szable” miała (dwa wydania) nakład 70-tysięczny i wydawnictwo na niej nie tylko nie straciło, ale i zarobiło, dzięki czemu mogło zapewne m.in. sfinansować jedną, czy dwie pozycje... Matyldy Welny.

Zupełnie już śmieszny, kiedy czyta się inne wynurzenia autorki; cytuję dosłownie: „Illakowiczówna! Mieszkała przed wojną 20 lat w Warszawie, ale wydała w tym czasie 16 tomików! Oto, co uczyniło z niej autorkę wziętą i sławną. Dlaczego ja muszę czekać aż mi się po dwu latach tomik wyda?!” Dwa lata? Inni czekają znacznie dłużej, ale nie o to mi chodzi. Do uzyskania sławy nie trzeba aż 16 tomików, czasem starczy jedna książka, chociażby „Sześć obok drogi”. Pisząc to, w żadnym wypadku nie chcę urazić pamięci Ilły, ale już samo porównanie, mimo wszystko, wydaje mi się niezbyt taktowne. To tak jakbym ja np. przyrównał „Drewniane szable” (Marka Adama Jaworskiego) do „Przygód Tomka Sawyera” (Marka Twaina)!

Jeszcze kilka uwag. Matylda Welna pięknie pisze o edukacji socjalistycznej (jak ją właściwie przeprowadzić, głowią się najtęższe w kraju umysły), a potem stwierdza autorytatywnie, że „czytelnicy oczekują dziś tekstów o

wyższym poziomie, które obok faktów [...] dostarczą także doznania (czyba doznania!) estetyczne, intelektualne i inne”. Jej prywatne biuro badania opinii publicznej mocno odbiega jednak od zainteresowań... Właśnie — od zainteresowań samych czytelników! Oto Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich dokonało corocznego podsumowania (vide: nr czwarty „Polityki”) z wypowiedzi czytelników w bibliotekach publicznych. Owszem, na liście znalazł się „Kamień na kamieniu” Myśliwskiego, ale na pierwszych miejscach również „Raz w roku w Skirolawkach” Nienackiego, „Rok w trumnie” Bratnego, „Sex partnerski” Starowicza, „Sztuka kochania” Wislockiej i „Powstanie Warszawskie” Ciechanowskiego. Wniosek „Polityki”: „Epika, historia i «te rzeczy»! Może nawet przede wszystkim «te rzeczy»! Na sześć książek aż cztery, w których właśnie o «to» chodzi”. Czyżby więc w sformułowaniu Matyldy Welny „i inne” miała ona właśnie „te rzeczy” na myśli?

Kilka słów poświęca Matylda Welna i mojej osobie, stwierdzając, iż perspektywy, jakie przed „Kamienią” nakreśliłem na wspomnianym zebraniu, były „nieprecyzyjne i oderwane od rzeczywistości”. Cieszę się, że ona sama do rzeczywistości przykleiła się butaprenem. Gratuluje też precyzji w wyrażaniu własnych poglądów, podkreślam: własnych, bo stwierdzenie, iż „Kamień” nie pojmuje w ogóle, co to jest służebna rola wobec społeczeństwa, zwłaszcza wobec własnego regionu” i dalej: „Muszę to ulec zmianie. Takie były postulaty w tym względzie środowiska literackiego” — na omawianym zebraniu właśnie z jej ust padły. Nie każdy literat buja w obłokach!

Kilka dni temu w redakcji „Kamienia” prowadziłem dyskusję z członkami Zarządu Lubelskiego Oddziału ZLP (Matylda Welna nie jest w zarządzie), poświęconej m.in. osiągnięciom środowiska przed Zjazdem ZLP. Dyskusję tę zrelacjonuję w „Kamieniu”, piśmie, które będzie nadal, w miarę swych możliwości, również propagować i dobroć twórców lubelskich, co przyjdzie jej o tyle łatwiej, że kierownik działu literackiego to w jednej osobie i prezes Lubelskiego Oddziału ZLP, zbyt może chwiliami pobłażliwy (co jest zrozumiałe) dla dokonanych swych owieczek. Nie widzę jednak żadnej potrzeby, aby pismo przekształcić w „literacko-kulturalne”, bo to jest dzisiaj a n a c h r o n i z m e m! Przypomnę w tym miejscu, że kiedy przed 21 laty obejmowałem kierownictwo „Kamienia” miała ona nakład siedmiokrotnie niższy niż obecnie, a prym w niej wdzili właśnie, mili skądinąd, literaci. Na wspomnianym zebraniu Matylda Welna niedwuznacznie domagała się znów etatów dla literatów w „Kamieniu”, zapominając, że sama była kiedyś dziennikarką. Nie powiem: „literaci do pióra!”, ale z całą mocą podkreślę, że w Lublinie wychodzi, dotowany przez Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego, literacki kwartalnik „Akcent”, który dla twórców, nie tylko lubelskich, stanowi najbardziej sensowną trybunę (kolegium redakcyjne „Akcentu” wzmocniono w ubr. właśnie dziennikarzem!). Życzę, aby w przyszłości „Akcent” stał się miesięcznikiem, zaś sam „Sztandar Ludu”, który piórem Matyldy Welny walczy o interesy literatów, wznowił wreszcie wydawanie specjalnych kolumn, na których propagowałby dorobek miejscowych twórców wśród szerszych rzesz czytelnicy. Oczywiście nie jestem pewien, czy wówczas frekwencja na spotkaniach literackich, organizowanych w Lublinie (właśnie na niską frekwencję też skarży się Matylda Welna) uległaby zdecydowanej poprawie.

PS. Na temat oceny lubelskiego środowiska literackiego w trudnych latach 1950-51 stanowiska nie zajmuję, choć refleksje Matyldy Welny wydają mi się zbyt optymistyczne. Wprawdzie lubie optymistów, ale nie ma reguły bez wyjątku...

Gorące serce

Wiesław Horabik

BYŁO sobotnie przedpołudnie. Panią Barbarę Słobodę, jedną z laureatek medalu „Ludziom Gorących Serc” za rok 1985, zastałem w nowej, przestronnej, pachnącej jeszcze farbą olejną i klejem (wszędzie drewno) — Izbie Dziecka, przy ulicy Uniwersyteckiej. Kiedy już zamknęły się za nami liczne, automatycznie sterowane kraty i usiedliśmy w surowo urządzonej w pokojku, od razu ogarnęły mnie wątpliwości, czy miejsce to nie działa zbyt deprymująco na trafiających tu młodocianych. Te zasuwy przypominały mi niedawny, upiorny film o Gary Gilmore. Były najdokładniej takie same...

— Czasami jest to skuteczny element odstraszający — usłyszałem w odpowiedzi. — Mamy przecież do czynienia z ludźmi, którzy w tak młodym wieku zdążyli już naruszyć prawo. Ale Izba to nie tylko kraty. To przede wszystkim świetlica, sala telewizyjna, czystość, porządek i życzliwość.

Siedmiu zatrudnionych tu inspektorów zajmuje się młodymi przestępcami w wieku od 13 do 18 lat. Tymi, którzy blakają się gdzieś na obrzeżach kodeksu karnego dla dorosłych; tymi, którzy wymagają bardziej opieki niż penitencjarną izolacji. Sprawy, o których rozmawiamy, są trudne i pogmatwane. Tutaj nie rozpatruje się współczesnych cierpień młodego Wertera. Objawia się tylko najbrutalniejszy ochlap życia.

— Jest bezspornym faktem — mówi pani Barbara — że charakter przestępstw, ich zasięg i częstotliwość występowania stanowią aktualny wykres młodzieżowych niepokojów. Po narkotycznych kontestatorach coraz częściej trafiają do Izby dzieci z nagromadzonym bagażem agresji. Ponieważ wydaje się być to tendencją ogólniejszą, fakt ten napawa nas szczególnym niepokojem. Czasami mam wrażenie, że nasza praca to tylko kropka w morzu potrzeb. Nigdy bym jednak nie opuściła rąk. Zawsze chciałam pracować z nieletnimi i dla nich. Postanowiłam tak niemal od pierwszego roku studiów. Wie pan, ja po prostu... lubię tych „nieszczęśliwców”!

Pani Barbara nie jest rodowitą lublinianką. Do naszego miasta przyjechała z mężem, którego poznała w Oficerskiej Szkole MO w Łodzi. Urodziła się w Olsztynie, mieszkała w Poznaniu, a prawo ukończyła we Wrocławiu. Charakter pracy rodziców (oboje zatrudnieni w MO) rzucał ich służbowym nakazem w różne zakątki kraju. Potem był jeszcze Kraków. Wybór kariery zawodowej mieścił się więc w rodzinnej tradycji. W niej także dopatrzyły się można uwarunkowania na sprawy dziecka, rodziny, uczucia. Ojciec pani Barbary, sam dotknięty od najmłodszych lat chorobą sierocą, przebijający się przez świat w trudnych latach przedwojennych, nawet w rozmowach z najbliższymi nie powracał nigdy do tamtych doznań. Wszystko podporządkował zapewnieniu synowi i córce normalnego, wolnego od niezawinionych stresów dzieciństwa. Wyczuwam wyraźnie, że świadomość tej ojcowskiej obsesji kształtowała późniejszą determinację jego córki.

— Wszystkie dzieci, z którymi się stykam — słyszę — są to „moje” dzieci. Szczególnie te najmłodsze, wobec których podjęłam się trudnej, ale koniecznej roli — próby polepszenia ich bytu, uratowania ich od życiowej klęski.

Praca w Izbie Dziecka to podstawowy zakres zawodowej działalności pani porucznik, ale medal przyznano jej za tę drugą odmianę aktywności — za społecznikowską pasję ochraniającego małych przed okrucieństwem rodziców.

A zaczęło się wszystko, jak to często bywa, od przypadku. Pewnego czerwcowego popołudnia 1984 r. trafiła do Izby trzyletnia Mariola. Uciekła z domu, a sąsiedzi zawiadomili MO. Problem dziecka bez domu stał się impulsem nowej działalności pani Barbary. Od tej pory ponad dwadzieścioro małych ludzi znalazło spokojną przystań w krańcickim Domu Dziecka (tam bowiem trafiają potrzebujący z terenu Lublina).

— To pierwsze zetknięcie z tego typu tragedią było dla mnie szokiem. Wielu ludziom zabrakło-

by wyobraźni, aby chociaż w części zrozumieć, jaki los zdolny jest człowiek zgotować własnemu potomstwu. Zabieraliśmy małeństwa wygłodzone, z ubytkami ciała, pobite, brudne, zawszone i półżywe ze strachu; dzieci, którym niewiele brakowało do całkowitej utraty zdrowia; dzieci, które, mając lat pięć czy sześć, po raz pierwszy dowiadywały się, że istnieje cukierek. Zmora, która mnie prześlada, jest świadomość, że do wielu zagrożonych nie udało nam się dotrzeć. Po prostu nie mamy możliwości. Decyduje tutaj poczucie ludzkiej wrażliwości. Takie małeństwa nie mogą przecież same zgłaszać się do nas. Potrzebny jest społeczny odruch.



Fot. Arkadiusz Karoń

O dziejącej się tragedii najczęściej informują sąsiedzi lub dalsi krewni. Raz był to nawet ksiądz. Pani Barbara udaje się wtedy na trudny środowiskowy wywiad. Czasami trzeba jednak działać szybko, sprawa wymaga natychmiastowej interwencji. Moja rozmówczyni podkreśla dobre współdziałanie w tym względzie: sądu, ZOZ-u (małe dzieci do lat trzech podlegają opiece służby zdrowia), organów społecznych, komisariatów dzielnicowych.

— Tylko indywidualny odruch jest zbyt słaby. To właśnie w takich przypadkach najwyraźniej „szczyrzy zęby” społeczna znieczulica. Jej zasięg jest coraz szerszy. Zaczyna się od obojętności na drobne sprawy, kończy zaś odwróceniem głowy na widok cudzego nieszczęścia. To groźna choroba naszych czasów. Zachwianie podstawowych norm moralności, anonimowość, sobiepaństwo, pogoni wyłącznie za materialnym zyskiem i za wciąż szybciej umykającym czasem.

Kiedy na mapie miasta próbowaliśmy ustalić topografię tych przypadków, jeden wniosek wydawał się oczywisty: najwięcej cierpienia można się doszukać w wielkich blokach, gdzie nie ma więzi społecznych, a każdy, przyczajony we własnej klatce, nie pragnie słyszeć głosów, dochodzących z zewnątrz. Rzadko interwencje wypadają w starych robociarskich dzielnicach małych domków, jeszcze rzadziej w podlubielskich gminach. Tam uczucia rodzinne i zasady pokoleniowej moralności są najtrwalsze.

Przyczyny katastrofy zaś są jasne i jednoznaczne: alkohol, rozbita rodzina, prostytucja...

— Każdy przypadek odebrania rodzicom dziecka przeżywam jako osobistą tragedię — mówi pani Barbara. — Sama jestem matką dwojga dzieci i ten fakt jeszcze potęguje moje emocje.

Pani Barbara jest młodą, wysoką kobietą, o gęstych, ciemnych długich włosach, w których już pojawiły się pierwsze srebrne pasma.

Decyzja o zabraniu dziecka nie jest, oczywiście, jednostkowa. W jej podjęciu uczestniczą także: kurator sądowy, przedstawiciel służby zdrowia, dzielnicowy, a na końcowym etapie — sąd. Na „egzekucję” postanowienia wyjeżdża karetka milicyjna cała ekipa.

— Kiedy przyjeżdżamy po dzieci — mówi pani Barbara — niemal zawsze dom stoi w oparach alkoholu i dymu tytoniowego. Czasami podłoga to formalne klepisko. Gruba warstwa kurzu pokrywa rzadkie, z reguły, sprzęty. Przykulone w kącie dzieci patrzy przerażonym lub apatycznym już wzrokiem na odbywającą się kolejną „bibkę”.

— Czy wasza interwencja nie przypomina zabierania skazańca do celi śmierci? — pytam.

— Absolutnie nie! Staramy się stworzyć atmosferę jak najdalej idącej życzliwości. Niezmiernie rzadko spotykamy się z nagłym, agresywnym wybuchem uczuć macierzyńskich czy ojcowskich. Jeśli tak, ma to wyłącznie charakter pijackiego zaciętrzewienia. Matka, chcąc pożegnać się z dziećmi, często ledwo trzyma się na nogach. U dzieci obserwuję czasami odruch jakiegoś „zwierzątkowego” instynktu przywiązania. Szybko jednak odżywiają w nowym, spokojnym otoczeniu. Nasza interwencja nigdy nie ma charakteru ostatecznego. Rodzice zawsze mają szansę zmiany swojego postępowania i odebrania dzieci na powrót do domu. Niezmiernie uważam, że najlepszym i jedynym normalnym środowiskiem dziecka powinna być rodzina. Ale jeśli taka możliwość nie istnieje, trzeba tym dzieciom pozwolić przeżyć życie, choćby w rodzinie zastępczej. Gdyby zobaczył pan te dzieci w jakiś czas po zabraniu ich z domowego piękła, też nabrałby pan wiary w słuszność i konieczność naszego działania. Często odpowiadam „swoje” maluchy. Aby nie dochodziło do takich tragedii, za absolutnie konieczne uważam „orzeczenie instytucji profilaktycznej, autentycznej opieki nad samymi rodzicami, bezwzględnej walki z alkoholem i wielkiej propagandy prasowej w tym względzie. Jakże często matka, której zmuszeni jesteśmy zabrać dziecko czy dzieci, w niedługi czas potem rodzi następne!

— Pani Barbara, czy nie musi pani być teraz bardziej pedagogiem i psychologiem, niż prawnikiem?

— Z pewnością tak, ale to mi bardzo odpowiada. Praca na przykład w sądzie wydaje mi się zbyt sformalizowana. Zawsze pragnęłam kontaktu z żywym człowiekiem, choć jestem z natury nieśmiała. Nieraz dziwię się nawet, kiedy wchodzę samotnie na wywiad do „meliny” i wracam stamtąd cało. Pocięsam się, że nadal funkcjonuje jeszcze w podświadomości pewien cień respektu dla kobiety. Mówiąc jednak poważnie, tyle społecznych stereotypów się zalałamo; chociażby ten o macierzyństwie! Mieliśmy przecież przypadki całkowitego porzucenia niemowląt. Nie chciałabym jednak, by ktoś odniósł wrażenie, że cały świat uważam za chore, choć przyznaję, że często łapię się na objawach zawodowego uczulenia; tak, jak lekarz, rozmawiając towarzysko, zawsze doszukuje się symptomów potencjalnej choroby rozmówcy, tak i ja stale na ulicy bacznie rozglądam się wokół siebie. A wracając do sprawy, bardzo pragnę, aby ludzie żywcem i szybciej reagowali na dziejące się nieszczęścia. Ratowanie człowieka to zbyt ważna sprawa, aby można przejść obok niej obojętnie.

Najwięcej satysfakcji sprawiają pani Barbarze przypadki, kiedy wystarczy doraźna pomoc; załatwienie przedszkola, krótki pobyt w pogotowiu opiekuńczym, rozmowy z rodzicami, po których sytuacja ulega poprawie — kiedy interwencja nie musi mieć znamion katastrofy. Rzadko tak bywa, ale bywało częściej; biega po szkołach, rozmawia z młodzieżą, wygłasza prelekcje, odwiedza kluby. Często dowody wdzięczności za okazaną pomoc dają siły do dalszego działania. Dzięki takim ludziom, jak ona, społeczna funkcja ratownicza i opiekuńcza organów do spraw młodzieży, zapisana w Dzienniku Ustaw Nr 26 z 1983 roku, przestaje być martwym paragrafem.

— Pani Barbaro, jak się dostaje medal „Ludziom Gorącym Serc”?

— Medale są nieważne. Trzeba tylko kochać ludzi!

Z osiedla im. Nałkowskich do kultury daleko

Wiesława Lidkiewicz

MIESZKA tu 17 tys. ludzi. Osiedle-sypialnia, najbardziej oddalone od centrum miasta. Zresztą bliższe może wsi niż miastu, nie tylko ze względu na odległość i sąsiedztwo Wrotkowa. Jest tu trochę bloków, owszem, cztery sklepy spożywcze, dwa przedszkola, szkoła podstawowa, apteka i od niedawna (od września ub. r.) — przychodnia zdrowia. To chyba już wszystkie dobrodziejstwa, jakie spłynęły dotychczas (w ciągu dziesięciu lat) na mieszkańców

osiedla im. Nałkowskich. Trzeba jeszcze dodać, że istnieje tu przecież komunikacja miejska, a jakże. Przy dużej dozie szczęścia „podróż” do Bramy Krakowskiej można odbyć w ciągu 30–40 minut.

Smutne to zapewne, ale — jak wynika z moich codziennych obserwacji — duża część życia ludzi, ich zainteresowania i emocje skupiają się w sklepach. Nie tylko w tym osiedlu, jest to przecież przypadłość powszechna. Mówi się niekiedy, że kolejka pełni w na-

szych czasach — a przynajmniej powinna pełnić, bo ma na to wszelkie szanse — rolę czegoś w rodzaju „salonu” towarzyskiego, czy nawet kulturalnego, gdzie można dowiedzieć się „co grają”, „co piszą”, „co idzie” w kinach albo na bazarach „kto z kim” etc. Może bywa tak rzeczywiście, gdzieś w Polsce czy w Lublinie także, nie wiem. Ale na pewno nie w osiedlu Nałkowskich!

Gdyby spytać przeciętnego mieszkańca osiedla, stojącego w „samie” przy

ul. Nałkowskich „za mięsem” albo „za wodką”, jak często bywa w teatrze, kinie, filharmonii, jakie książki i czasopisma kupuje, czyta — słowem, jakki jest jego kontakt z czymś, co nazywa się kulturą, otóż wyniki takich py-

Dokończenie na str. 4

Obłęd Kaliguli

Dariusz Słapek

OBEJRZENIE „Kaliguli” w obiegu wideokasetowym od pewnego czasu zaczyna należeć do tzw. dobrego tonu. Większość spośród nas musi jednak usatysfakcjonować bardziej cenzuralny serial „Ja, Klaudiusz”, w którym „szalony Kaligula” szokuje w znacznie mniejszym stopniu. Mimo tej niezwykle pozytywnej, popularyzatorskiej roli serialu, hasło — „Kaligula” ciągle wywołuje dreszczyk emocji, dwuznaczne uśmiechy; stało się ono jakimś magicznym zaklęciem. Czar i siła małego ekranu zrobiły swoje — problem w tym, czy dobrze? Niewątpliwym jest fakt, że film i literatura wypełniły pewną lukę w ogólnym stanie wiedzy o Kaliguli i epoce wczesnego cesarstwa. Już dawno historycy powinni byli zadbać o jej zlikwidowanie. Wszystkie wybitne osobistości okresu republiki rzymskiej i cesarstwa doczekały się wielu, a w niektórych wypadkach nawet setek monografii. Natomiast jeśli chodzi o postać Kaliguli, prace J. P. Baldsona, A. Momigliano, K. Willricha i jeszcze kilku innych historyków muszą, jak dotąd, zaspokajać ogromne społeczne zainteresowanie tą frapującą i ekscytującą postacią. Szkoda, że pozycje te nie mogą jednak cieszyć przeciętnego polskiego czytelnika; do dzisiaj Kaligula pozostaje raczej na marginesie zainteresowań rodzimych historyków. Kiedy już spotyka się jakąś publikację, to na ogół razi w niej zbyt wiele nieudomówień, niejasności a często także przesadna jednostronność w ocenach i wartościowaniu pewnych wydarzeń. W owych publikacjach pojawiają się uwagi i zastrzeżenia typu „podobno”, „prawdopodobnie”, „według niektórych” itp.

Często znajduje się uwagi dotyczące Kaliguli w pracach poświęconych innym postaciom. Przykład tego cesarza stanowi niemal doskonały negatywny model, w porównaniu z którym każda prawie osobistość urasta do roli

herosa: np. Wespazjan w przeciwieństwie do Kaliguli był władcą niesłychanie oszczędnym, Trajan w swej polityce zagranicznej postępował z o wiele większą konsekwencją niż Kaligula itd.

Stan taki wyjaśnić można kilkoma przyczynami. Niespełna czterolatnie panowanie Kaliguli było przecież tylko niewielkim epizodem w dziejach cesarstwa, dodajmy także — epizodem nie najważniejszym. Gwiazda tego cesarza zapłonęła barwą nieco odmienną niż Augusta, czy nawet Tyberiusza, jednak już aureola następnych władców Rzymu emanowała bardziej, nazwijmy to, normalnym blaskiem.

Jedną z istotnych przyczyn jest także z pewnością szczupła baza źródłowa. Najbardziej wiarygodny przekaz historyka rzymskiego, Tacyta, dotyczący okresu rządów Kaliguli, niestety, nie zachował się. Pozostały nam informacje z dzieł Józefa Flawiusza, Diona Kasjusza, Filona i fragmentarycznie korzystając też możemy z orac Seneki i Pliniusza Starszego. Głównym jednak bankiem danych o Kaliguli są, oczywiście, „Żywoty Cezarów” Swetoniusza. Wydaje się, że mimo wszystko istota problemu leży nie tyle w szczupłości źródeł, co raczej w ich charakterze. Wszystkie one bowiem zgodnym chórem określają Kaligulę mianem szaleńca i psychopaty. Jak zatem o kimś takim pisać, gdzie doszukiwać się logiki, konsekwencji, związków przyczynowo-skutkowych, na podstawie czego wnioskować, w jaki sposób budować jednoznaczne opinie?

Autorzy pomnikowej już niemal „The Cambridge Ancient History” stwierdzili, że postać Kaliguli bardziej nadaje się jako przedmiot badań dla specjalistów w dziedzinie psychiatrii niż dla historyków. Sięgając do przekazu Swetoniusza niestety trudno się z nimi zgodzić. Odnosi się jednak wrażenie, że

właśnie poprzez tego typu opinie Kaligula staje się postacią jeszcze bardziej ekscytującą.

Dla autorów antycznych cesarz Gajusz (właściwe imię Kaliguli) był niewątpliwym dewiantem i szaleńcem. Nie ulega jednak wątpliwości, że w niektórych swoich opiniach na temat obłędu Kaliguli nieco oni przesadzili. Czy owe niezbyt delikatne podmalowywanie osoby Kaliguli wynikało u nich jedynie z ich politycznych przekonań? Czy decydował głównie fakt, że dzieła ich pisane były z punktu widzenia senatorskiej opozycji wobec pryncypatu i jedynowładztwa? Czy same namiętności polityczne wystarczały, aby przedstawić kogoś w aż tak niekorzystnym świetle? Historia, antyk być może w szczególności zna takie sytuacje. W tym jednak przypadku wpływ miały także z pewnością i inne czynniki. Przekaz Swetoniusza w trzech czwartych swojej objętości to bodaj najczarniejszy obraz władcy odmalowany w światowej literaturze. Ilekroć o mordach i krwi, obłudzie i wyuzdaniu, okrucieństwie i sadyzmie, cierpieniu i leżeniu ofiar! Zdziwiałoby, że chwilami sam autor zdaje się wątpić w realność tego, o czym sam pisał. Z drugiej strony, można odnieść wrażenie, że Swetoniusz skondensował w biografii Kaliguli całe zło, wszelkie jego elementy i składniki, z którymi ludzie mają do czynienia i z którymi od zarania bezskutecznie próbują walczyć.

Źródła są zatem na swój sposób tendencyjne i traktować je należy ostrożnie. Nie zmienia to jednak faktu, że Kaligula „nie był zdrowy ani fizycznie, ani umysłowo”. Znakomity znawca antyku, T. Zieliński, określił tę chorobę mianem „obłędu cesarza”. Stosując terminologię medyczną, spróbujmy prześledzić historię owej choroby. Odrzucić chyba wypada diagnozę, że schorzenie Kaliguli to dolegliwość wrodzona (taką opinię reprezentuje R. Graves, autor powieści „Ja, Klaudiusz”,

który już małego Gajusza pokazuje jako szalonego i losowego zia).

Kaligula od najmłodszych lat narażony był na wpływ czynników, które w późniejszym jego rozwoju wywołać mogły niepożądane skutki. Kilkuletni zaledwie małe, przebywający u boku swego ojca, wielkiego wodza, Germanika, w obozach legionowych szybko stał się maskotką żołnierzy. Najprawdopodobniej właśnie w nadreńskich puszczech powstał jego przydomek — Kaligula (małe, niczym stary wiarus paradował w żołnierskich skórzanych butach, tzw. Calligae). Wojsko otaczało go uwielbieniem. Nazywano go „chłopczykiem, gwiazdeczką, dzieciakiem, pieszczotką”. Ba, układano nawet o nim wierszyki:

„W obozie zrodzony, ojca wojska dany
już do panowania świata przeznaczony”

Jego sława i niesłychana popularność rosły wraz z coraz większym uwielbieniem dla Germanika i, co ciekawe, sytuacja ta nie zmieniła się w chwili, gdy mściciel wiarusowych legionów, wielki Germanik, w dość zagadkowych okolicznościach w 19 roku naszej ery pożegnał się z życiem. Teraz cała miłość do wielkiego wodza spłynęła właśnie na jego najmłodszego (i) syna. Trudno stwierdzić, w jaki sposób czynniki te wpłynęły na psychikę chłopca, faktem jest jednak, że to z jego ust padły słowa skierowane do babki Antonii: „Pamiętaj, że wolno mi wszystko względem wszystkich”.

Przez następnych kilka lat żył Kaligula, wychowywany jedynie przez matkę, w atmosferze coraz bardziej ostrzegającej się sytuacji wewnętrznej w Rzymie. Jego matka, Agrypina Starsza, jako kobieta stanowcza i energiczna, a przede wszystkim jako wnuczka cesarza Augusta, nigdy nie cieszyła się zbyt dużą sympatią Tyberiusza. Na dworze panującego cesarza coraz większą pozycję zdobywał przebiegły i ambitny dowódca straży pretoriańskiej, Sejan. W mieście panował nastrój niepewności i ciągłego strachu potęgowanego szalejącymi procesami o obrazę majestatu. Rozpanoszyło się donosicielstwo. Tacyt pisał, że było ono „największym nieszczęściem owej epoki... nie można już było odróżnić obcych od krewnych, przyjaciół od nieznajomych, świeżych faktów od takich, które dawno zaciemniła przeszłość”. W roku 29 n.e. wskutek knołów realizującego własne plany Sejana, za aprobatą Tyberiusza, zostali wygnani z Rzymu i

Z osiedla im. Nałkowskich do kultury daleko

Dokończenie ze str. 3

„byłyby więcej niż smutne. Oto moja podstawa do takich stwierdzeń; przeprowadziłam rozmowy-ankiety z 50 przypadkowo wybranymi mieszkańcami osiedla, w przedziale wiekowym 23-47, a więc — jak wolno sądzić — z ludźmi, których aktywność życiowa, a więc i potrzeby rozwijania się, kształtowania własnej osobowości powinny być przecie duże. Niespełna połowa (24 osoby) spośród moich rozmówców byli to ludzie z wyższym wykształceniem (tak przynajmniej twierdził, bo nie zawsze wynikało to z rozmowy), reszta z wykształceniem średnim albo zawodowym. Jakże są w końcu wyniki moich rozmów? Aż 11 osób spośród rozmówców nigdy, powtarzam: nigdy, nie było w lubelskim teatrze dramatycznym, w kinie bywają średnio raz w roku, albo jeszcze rzadziej. Co więcej, przyznają się do tego bez odrobiny żałowania. I również do tego, że w zasadzie jedynym źródłem ich rozrywkę i „kultury” pozostaje telewizja.

Jeśli idzie o prasę: większość moich rozmówców, ponad 30 osób, kupuje tylko „Kurier Lubelski” albo „Sztandar Ludu”, często także „Kurier Polski”, „Życie Warszawy” — przeważnie ze względu na ogłoszenia, no, ludzie w końcu są ciekawi, co można sprzedać, kupić, zamienić itd. Sześć osób czytuje „Przekrój” pięć kobiet mówiło o nabywaniu „Kobiety i Życia”, „Przyjaciółki”. Siedmiu mężczyzn kupuje stale „Politykę” Według informacji, jakie uzyskałam, w czterech znajdujących się tu kioskach, tygodnik „Kultura” prawie wcale nie znajduje

nabywców. W jednym z kiosków jest jeden stały zwolennik „Życia Literackiego”.

Po co mi ta cała, nudna przecie, „statystyka”? Otóż wynika z niej na pewno tyle: zainteresowanie przejawami kultury, jakimkolwiek choćby, uczestnictwo w życiu kulturalnym jest wśród mieszkańców osiedla im. Nałkowskich żadne, a w najlepszym razie niewielkie. Ludzie najczęściej objaśniają swoje zaniedbania brakiem czasu i „trudną komunikacją z miastem”. To oczywiście powody dalece niedostateczne dla usprawiedliwienia faktu, że w ciągu kilkudziesięcioletniego życia nie widzieli się nigdy teatru w mieście, gdzie się żyje, nie nabyli się nawyku kupowania książek, czasopism.

Mieszka w tym osiedlu społeczność podobno trudniejsza niż np. na Czubach, Czechowie, LSM i mniej na pewno podatna na wpływy życia kulturalnego. Dużo tu ludzi z wykwaterowań, sporo rodzin robotniczych. Ale trzeba też przyznać, że w ciągu ponad dziesięć lat istnienia osiedla w zasadzie nie zadano wcale o to, by tym ludziom tu na miejscu, pomiędzy strukturami szarych bloków, przybliżyć jakieś elementy kultury, wytworzyć nawyki potrzeby obcowania z kulturą. Napisałam: nie zadano, forma bezosobowa, która niczego właściwie nam nie wyjaśnia. Któż miał właściwie o to zadbać? Spółdzielnia Mieszkańcowa, władze miejskie, władze kulturalne? No właśnie, nie bardzo wiadomo.

Jedyny gest, jaki uczyniła na rzecz sprawy, o której mówimy, Spółdzielnia Mieszkańcowa, to stworzony zaraz po powstaniu osiedla, w 1976 roku, Klub Osiedlowy, który spółdzielnia do dzisiaj, oczywiście, wspiera finansowo. Klub: trzeba najpierw powiedzieć, że jest to po prostu zwyczajne M-3, gdzie

jeden pokój zajmują pracujące tu dwie panie, a drugi jest właśnie salą klubową, gdzie znajduje się magnetofon, kolumny, których podobno nie daje się uruchomić, i czasem trafiają się jakieś czasopisma, ale to już zależy od dobrej woli sąsiadującej naprzeciwko biblioteki. Czy przestrzeni klubu nie daloby się powiększyć przynajmniej jeszcze o jakieś M? Nie, skądże. Panie z klubu powiadają, że ludzie by pewnie oczy wydrapali, gdyby jakiegokolwiek mieszkanie przeznaczono teraz na klub.

Kiedy w zimowy wieczór odwiedziłam Klub Osiedlowy, przed wejściem, na klatce schodowej, stała grupa chłopców, czekali, żeby móc wejść do sali klubowej, bo tam odbywało się właśnie zebranie Rady Mieszkańców. Debatowano podobno także nad sprawą budowy w osiedlu pawilonu usługowego, gdzie według planów ma się znaleźć miejsce na klub, czy może nawet dom kultury. Na razie do obecnego klubu, mimo ciasnoty, przychodzi jednak sporo młodzieży. Zwłaszcza chłopcy chętnie spędzają tu czas na rozmowach, grach. Ale nie pomieszczą się tu na pewno wszyscy, którzy chcieliby przyjść. Wieczorami sterczą na klatkach schodowych, albo pod blokami, grupy nastolatków, bo nie ma przecież w tym osiedlu miejsca, gdzie mogliby się spotkać, pogadać, wypić herbatę. Więc trudno niekiedy się dziwić, że czasem z nudów dewastują tzw. miejsce społeczne.

Klub Osiedlowy mimo trudności, o których mowa, nie pozostaje zupełnie bezczynny. Choć właściwie nie prowadzi, niesie, działalności o charakterze kulturalnym. Organizuje głównie imprezy sportowe, turnieje tenisa, rajdy. Istnieją dwa zespoły piłki nożnej. Klub bywa także miejscem spotkań kobiet, kiedy organizowane są konkur-

sy balkonowe. Jeszcze do ubiegłego roku działał Klub Seniora. Czasem odbywają się tu organizowane przez TWP prelekcje. Panie pracujące w klubie powiadają, że chętnie urządziłyby dyskotekę dla młodzieży, tylko że z tym bywają już znaczne trudności, po prostu nie ma sali. Dyrektor szkoły podobno słyszeć nie chce o tym, że miałby w szkole udostępnić salę na dyskotekę, i słusznie. Wszak trudno dzielić się przestrzenią szkolnego budynku z jakimś klubem, dodajmy budynki, gdzie uczy się 2,5 tys. dzieci, choć pierwotnie zaplanowano tę szkołę tylko na 800. Kierownictwa zakładów pracy, których w okolicach osiedla jest akurat kilka, odmawiają wynajęcia pomieszczeń, kiedy słyszą, że mają być przeznaczone na dyskotekę dla młodzieży. Zresztą, może i czynią słusznie. Dyskoteka nie należy przecież do jakiegokolwiek dziedziny kultury, może być jedynie sposobem zapełnienia czasu, dosyć ogólniackim, trzeba przyznać.

Postawmy wreszcie pytania, o które chodzi w tej relacji. Co właściwie mają robić w wolnych chwilach młodzi ludzie, w tej położonej na krańcach miasta sypialni, jak i gdzie korzystać z dóbr kultury? Czy ktoś zechce ich do bywania w filharmonii, teatrze? Czy ktoś próbuje im uświadomić, że uczestnictwo w życiu kulturalnym, że kształtowanie własnej osobowości, że w końcu wewnętrzne wyposażenie człowieka jest sprawą niezbedną i przynajmniej równie ważną, jak zdobywanie w codziennym pośpiechu rozmaitych dóbr materialnych? Dom rodzinny nie zawsze, a mam nawet odwagę powiedzieć, że rzadko, bywa tu twórcą takich potrzeb i takich zainteresowań.

Wiesława Lidkiewicz

wkrótce zginęli: matka Kaliguli, Agrypina, i starszy brat, Nerona. Podobny los miał niebawem spotkać także drugiego brata Kaliguli, Druzusa. Jedyną ich winą było to, że byli prawnukami Augusta. Swetoniusz pisał, że „ani skazanie matki, ani zguba braci nie wycisnęły mu z ust słowa”. Czy był to wynik moralnego upadku Kaliguli, czy też skutek krepującego go fizycznego strachu o własne życie?

Obawy Gajusza były chyba w pełni uzasadnione. Każde jego bardziej energiczne działanie, słowne deklaracje nawet, mogły okazać się fatalne w skutkach. Z pewnością tylko młody wiek Kaliguli i jego wyjazd na Capri do „pustelni” Tyberiusza uratowały mu życie. Tu wszechwładza Sejana już nie sięgala, choć pobyt w pałacu cesarza wcale nie oznaczał wybawienia... Zawsządy cziano na jego błąd i potknięcie, otaczano prowokatorami. Siłą rzeczy musiał dostosować się do trybu i stylu życia otaczających go ludzi, którzy na skalistej wyspie stworzyli enklawę wyuzdania i rozpusty. Nie bez powodu pisał Tacyt, że „...obłuda i fałszu przy boku dziadka (Tyberiusz adoptował ojca Kaliguli, Germanika) dokładnie się wyczuł”. Dziewiętnastoletni Gajusz doskonale wiedział, że nie jest jedynym kandydatem na następcę: był przecież wnuk panującego cesarza, Tyberiusz Gemellus. Czuli, że jeśli cokolwiek w jego postępowaniu nie przypadnie do gustu dziwaczącemu Tyberiuszowi, zginie.

Lata spędzone na Capri na pewno bardzo silnie oddziaływały na psychikę Kaliguli. Nie chodzi tu jedynie o deprawację młodego człowieka w sferze etyki i moralności. Kaligula z pewnością dostrzegał także mechanizmy władzy. Szkoda tylko, że mógł obserwować Tyberiusza dopiero w końcowym etapie jego rządów, kiedy ten, jak to określił Tacyt, postępował „na modłę barbarzyńskich królów...”

Ostatnie lata panowania Tyberiusza w istocie niewiele miały wspólnego z zasadami sprawowania władzy wypracowanymi przez Augusta. Coraz więcej trudności sprawowało Tyberiuszowi godzenie republiki z monarchią. August był dobrym politykiem, potrafił pożytkować sobie ludzi i łagodzić konflikty. W chwili, gdy zabrakło zręcznego gracza, coraz bardziej uwidaczniały się niejasności w podziale kompetencji, roli princepsa, senatu i urzędników. Iluzja tymczasowości pryncypatu przysła. Przesadna uległość senatu spychała niejako ustrój w stronę absolutyzmu. Bezpośrednim świadkiem tych przemian był Kaligula. Czy pozostało

to bez wpływu na model jego przyszłych rządów?

Cesarz Tyberiusz zmarł 16 marca 37 roku n.e. Na firmamentie imperium wzniosła się nowa gwiazda — Gajusz Juliusz Cezar, zwany Kaligulą. Szaleństwo cesarza nie objawiło się jednak wraz z przejęciem władzy. Pierwsze posunięcia nowego princepsa oceniano bardzo pozytywnie. Senat z wielkim entuzjazmem nadal mu wszelkie zaszczyty i uprawnienia, oczekując w zamian rozsądnej i spokojnej polityki. I tak w istocie było. Kaligula ogłosił amnestię dla skazanych w procesach o obrazę majestatu, zawiesił toczące się rozprawy, przywrócił cześć matce i braciom, umieszczając ich prochy w Mauzoleum i zdobił ich podobiznami rewersy wydawanych monet, dotrzymał obietnicy, wypłacając zaległe zapisy testamentowe Liwii i Tyberiusza. Ponadto wprowadził daleko idące ulgi podatkowe i zrekomensował ludowi oszczędne i smutne lata panowania Tyberiusza, urządzając liczne wspaniałe widowiska. Plebs przyjął to z pewnością z większą atencją niż ponowne oddanie w jego ręce prawa wyboru urzędników.

Marzenia o rozsądnym cesarzu wkrótce przysły. Trudno stwierdzić, czy metamorfoza władcy miała charakter gwałtowny. Opowieść Swetoniusza o tym, jakoby przyczyną szaleństwa Kaliguli był jakiś tajemny lek podany mu przez żonę Cezonię, należy włożyć między bajki. Katalizatora przemiany Gajusza dopatrywać się raczej można w jego ciężkiej, gwałtownej, a niestety, bliżej nam nie znanej chorobie, jaką przeżył w końcu pierwszego roku panowania. Historyk żydowski, Józef Flawiusz, przesunął ów krytyczny moment dopiero na trzeci rok jego panowania, a przyczyn obłędu dopatrywał się w mniej prozaicznych czynnikach: „...Co do Gajusza, to w pierwszym i drugim roku swoich rządów okazał się człowiekiem dobrodusznym i swoją łagodnością pozyskiwał sobie wielką przychylność Rzymian... Z biegiem czasu jednak wielkość władzy tak go wbiła w pychę, że przestał uważać się za człowieka, mając się za istotę nadludzką...” Nowy bóg, ziemskie wcielenie Jowisza, wymagało krwawych hekatomb. Z życiem pożegnał się Tyberiusz Gemellus, prefekt gwardii, Makron i wielu, wielu innych senatorów, mężów stanu, dworaków. Ginęli także zupełnie niewinni ludzie stojący z dala od pałacu i polityki. Seneka pisał, że Kaligula katował swoje ofiary „powrozami, zworami do miażdżenia kostek u nogi, na ławie katowskiej, o-

gniem”. Usta cierpiących zatykano gąbkami lub ich własnymi szatami. Senatorów i ekwitów poddawał torturom w ogrodach swej matki przy świetle latarni. Sadyzm, brutalność, cynizm, obłuda stały się codziennością na cesarskim dworze. Szargano wszelkie świętości, nie licząc się z żadnymi autorytetami.

Przykłady szaleństw, dziwactw, zapierających dech erotycznych przygód boskiego amanta, można by mnożyć. W niczym nie zmieni to jednak ogólnej oceny Kaliguli. Niektórzy historycy dopatrują się w szaleństwie Gajusza pewnej metody. Nie ulega wątpliwości, że Kaligula dążył do wprowadzenia absolutyzmu na wzór monarchii



TARŁ 86

Rys. Józef Tarłowski

wschodnich. Droga do tego celu była fizyczna eliminacja warstwy senatorskiej i ośmieszenie, lekceważenie rzymskich tradycji i uświęconych prawem instytucji. Kaligula zdecydowanie i brutalnie odrzucił wszelkie subtelności prawne, w jakie ubierali swą władzę August i Tyberiusz. Zasadę wszechwładzy doprowadził do absurdu. Opozycję senatu likwidował fizyczną eksterminacją i wygrywaniem przeciw niemu plebsu i armii, które jednakowo oczekiwały przywilejów i igrzysk. W jego dążeniu do celu zabrakło mu konsekwencji i rozwagi. Dał o sobie znać brak właściwego przygotowania do

sprawowania władzy, brak doświadczenia i poczucia odpowiedzialności. Na pewnym etapie i tak już ogromna władza princepsa przestała być dla niego środkiem do rozszerzenia jej zakresu, a była tylko jedną z wielu możliwości zaspokojenia żądz i pokazywania siły. Kaligula nie przywiązywał wagi do spraw administracji i dowodzenia armią. Sytuacja finansowa państwa pogarszała się, a bezmyślne rozporządzenia doprowadzały do powstania zapalnych punktów w Palestynie, Mauretanii i na wybrzeżach Morza Czarnego. Mimo więc, że areną szaleństw Kaliguli było głównie miasto Rzym, to jednak ich implikacje i skutki sięgały czasem szerzej, chociaż nie paraliżowały życia imperium. Niezależnie od tego, czy cesarz właśnie występował jako gladiator, czy też przyglądał się egzekucjom więźniów, życie w prowincjach toczyło się normalnie. Działo się tak dzięki coraz sprawniej funkcjonującej administracji zawodowej, która właściwy ciężar władzy wzięła na swoje barki. Być może właśnie w tym tkwi zagadka prawie czteroletniego tolerowania Kaliguli u władzy. Niewątpliwie odegrały tu także pewną rolę i inne czynniki: słabość senatu; dość duża popularność Kaliguli wśród plebsu i armii; przywiązanie do dynastii (tzw. legenda augustowska). Dość karkołomną hipotezą mogą być przypuszczenia, że opozycja senatorska celowo przez pewien okres czasu tolerowała szaleńca na tronie. Rządy Kaliguli miały w założeniach zożydzić pryncypat i jedynowładztwo w opinii społeczeństwa. Przecież tuż po śmierci Kaliguli senat zamierzał restytuować republikę. Czy jednak realizacja tych planów nie byłaby pyrrusowym zwycięstwem?

Cesarz Gajusz Juliusz Cezar zginął z rąk spiskowców dowodzonych przez trybuna oddziału pretorianów, Kasjusza Chereę 24 stycznia 41 roku n.e. w wieku 29 lat. Miecze gwardzystów były jedynie ostatnim akordem choroby zwanej „obłędem cesarów”. Schorzenie to, będące chorobą władzy, zrodzone z syntezy poczucia nadludzkiej potęgi z potwornym strachem o biologiczne istnienie, zniszczyło nie tylko Kaligulę. Jego następców niczego też nie nauczyły słowa z „Fedry” L. A. Seneki:

„Czemu to w małych chatkach mieszka
święta miłość
Szary tłum swoje zdrowe skłonności
miarkuje
I przeciętny zna umiar? A za to bogactwo
i tronu bliscy pragną więcej niż się
godzi
Czego nie może, móc chce, kto zbyt
wiele może”.

NIEWIELE tematów w polskiej prasie wywołuje tak różnorodny, i niestety, w większości balamutny komentarze jak syndrom chorobowy zwany z angielska AIDS, oznaczający zespół nabytego upośledzenia odporności. Analizując treści publikowane przez środki masowego przekazu, można dość łatwo zauważyć, że prawie wszystkie dotyczą lepiej lub gorzej przedstawianych przez dziennikarzy medycznych aspektów AIDS, a przecież jest to także interesujące zjawisko socjologiczne, które powinno jak najszybciej stać się przedmiotem systematycznych badań ze strony nauk społecznych. Nie czekając na wyniki takich badań, można już dziś pokusić się o próbę zasygnalizowania przynajmniej niektórych socjologicznych uwarunkowań fenomenu AIDS.

Ważnym elementem wpływającym na postawy i zachowania społeczne ludzi we współczesnym świecie jest charakter i sposób funkcjonowania środków masowego przekazu. W coraz większym stopniu kształtują one także zachowania zdrowotne zbiorowości, spełniając w tym zakresie pozytywną lub negatywną rolę. Tym bardziej więc zwraca uwagę i niepokoi stan nie spotykanych dotąd emocji panujących w wielu społeczeństwach europejskich, wywołany i podsycany przez tamtejsze mass media. Niestety, AIDS idealnie nadaje się na wszelkiego typu „cover story”; jest nową, wywołującą powszechną groźną nieuleczalną, posiada dużą progresję zachorowań, dotyczy grup społecznych dość powszechnie uznanych za dewiantyczne — w tym szeregu osób z kręgów bohemy artystycznej. Każda z tych specyficznych cech choroby stwarza łatwą okazję do bulwersujących, sensacyjnych i chwytliwych publikacji.

Nawet pobieżna i wrywkowa lektura prasy zachodniej wskazuje, że AIDS jest jednym z najbardziej eksploatowanych tematów, mimo iż liczba zweryfikowanych przypadków zachorowań i zgonów (np. w krajach EWG) jest ciągle relatywnie niewielka, a choroba zajmuje dalekie miejsce na liście przyczyn zgonów. Dzięki swoistej „socjotechnice” mass mediów w świadomości społecznej AIDS urasta do rangi centralnego problemu medycznego, przy czym ludzie wobec groźby tej choroby czują się bezradni, przerażeni i sfrustrowani. Nie ulega wątpliwości, że części niepożądanym skutków społecznych, wywołanych, świadomie czy nieświadomie, przez prasę, radio i telewizję, można by uniknąć przy staranniejszej i

AIDS - zjawisko społeczne

Włodzimierz Piątkowski

bardziej odpowiedzialnej selekcji treści docierających do odbiorców.

Należy też dostrzec inny socjokulturowy aspekt omawianego zjawiska — etiologia i szybkość przenoszenia się choroby związane są ściśle ze stylem życia. Nie zaskakuje więc fakt, że, jak wynika z pierwszych badań socjomedycznych, największe ogniska AIDS, zlokalizowane są w wielkich aglomeracjach miejskich (Nowy Jork, San Francisco, Los Angeles itp.), gdzie elementami dominującego stylu życia są: łatwość, mnogość i nietrwałość kontaktów tak hetero- jak homoseksualnych.

Warto zdawać sobie również sprawę ze skutków społecznych, jakie niesie AIDS. Choroba ta wywołuje, w nieznanym dotąd skali, nasilenie mechanizmów etykietowania, piętnowania, izolacji i kontroli społecznej. Wydaje się, że te obserwowane „in statu nascendi” zjawiska powinny być przedmiotem badań socjomedycznych również w Polsce, tym bardziej, że analiza treści polskich publikacji na temat AIDS ukazuje zdecydowaną przewagę elementów irracjonalnych, potęgających pesymizm i na pewno nie pobudzających do rozumnych działań. Typowym przykładem potwierdzającym tę diagnozę jest treść komunikatu Polskiej Agencji Prasowej z 10 listopada ubiegłego roku, zawierająca treści dezinformujące społeczeństwo: „Na razie — stwierdza amerykańska służba zdrowia nie ma skutecznego lekarstwa przeciwko AIDS. Pozostaje tylko szeroka akcja prewencyjna a przede wszystkim unikanie w wszelkich (podkr. moje — W.P.) kontaktów homoseksualnych, biseksualnych, z narkomanami i ludźmi cierpiącymi na hemofilie”. Przeczy to powszechnie, jak by się wydawało, znanym faktom, że normalne kontakty międzyludzkie z osobami dotkniętymi AIDS nie stanowią przecież groźby zarażenia się chorobą!

Nie ulega wątpliwości, że wcześniej czy później, przed organizatorami ochrony zdrowia większości krajów, w tym również Polski, stanie problem stworzenia systemu opieki nad osobami chorymi lub podejrzanymi o AIDS. System ten musi zapobiec nasilającym się zjawiskom etykietowania, piętnowania i zależności społecznej chorych, z drugiej zaś strony powinien on gwarantować sprawny przebieg zapobiegania, leczenia i rehabilitacji. Uwzględniając charakter choroby i specyfikę reakcji społecznych, należałoby już dziś zastanowić się nad optymalnymi, społecznie akceptowanymi formami opieki nad osobami dotkniętymi zespołem nabytego upośledzenia odporności. Być może skuteczną formą takiej opieki byłyby grupy samopomocowe organizowane przez samych pacjentów i ich rodziny.

Podsumowując można stwierdzić, że AIDS stanowi typowy przykład zjawiska socjomedycznego: — na etiologię tej choroby wpływają warunki społeczne, — ma ona wyraźne społeczne konsekwencje, — wpływa na funkcjonowanie instytucji medycznych i sposób pełnienia roli zawodowej lekarza, m. in. kształtując interakcję lekarz — pacjent, — tworzy specyficzne rodzaje zachowań zdrowotnych itp.

W tej sytuacji najlepszym sposobem rozwiązywania problemów związanych z zespołem nabytego upośledzenia odporności wydaje się możliwe szybkie podjęcie badań interdyscyplinarnych także z udziałem przedstawicieli nauk społecznych.

STATNIE tygodnie ciąży były dla Weroniki czasem po równu: radości i zmęczenia. Cieszyła się, że urodzi wreszcie to noszone w sobie dziecko — może upragnioną przez męża córeczkę. I czuła się zmęczona, gdyż nawet w tym trudnym dla ciężarnej kobiecie okresie pani Emilia nie przestawała ograć w nią jak w robocze zwierzę.

Zycie nie potwierdziło wiary Juliana, że stosunki między teściową i synową ułożą się. Weronika bardzo tego pragnęła, lecz jej posłuszeństwa i pokory nie wystarczało, by zmieścić serce zawziętej Ropuchy. Julian wywojował w momentach przybaru odwagi jedynie to, że matka przestała się wtrącać do stosunków między małżonkami. Tym mocniej jednak wyżywała się jako pani domu. Sama nie robiła w nim nic, wszystko spadało na Weronikę. Trud i starania synowej nie doczekały się ani razu pochwały, natomiast każda okazja była dobra, żeby ją zganić albo wydrwić. Na owe przygany Weronika już odepierała, ale nie pomniejszała to jej zmęczenia i gorczy. Niemożność wyładowania się w jakimkolwiek buncie karmila jej wewnętrzne pragnienie, które było bez wątpienia ciężkim grzechem. Weronika pragnęła mianowicie, żeby teściowa jak najrychlej umarła. Dochodziła do jeszcze bardziej grzesznej myśli: że — mogąc w jakimś niebezpieczeństwie uratować Ropuchę od śmierci — nie uczyniłaby tego.

Dniem ulgi bywała dla Weroniki tylko niedziela. Pani Emilia nie miała odwagi naruszać boskiego przykazania, żeby dzień święty święcić. Weronika musiała jedynie przyrzucić posiłki; poza tym była wolna od domowych obowiązków. Szybko się utarło, że po południu bądź wieczorem małżonkowie wychodzą z domu. Bywali w teatrze lub kinie, a ponadto składali wizyty krewnym i przyjaciółom Juliana, którym nowa małżonka powinna być przedstawiona. Pani Emilia miała do tych prezentacji stosunek złośliwy. W niektórych domach Weronika spotykała się z chłodnym przyjęciem. Przyczynę tego zdradziła jej Wanda Stradecka, kuzynka Juliana, też dopiero od niedawna zamężna i również ze starszym od siebie mężczyzną. Co więcej — także z przedsiębiorcą: właścicielem sklepu muzycznego z instrumentami i płytami, połączonego z warsztatem napraw. Podobieństwo sytuacji osobistej usposobiło Stradecką przychylnie do Weroniki. Doprowadziło to do zwłóczenia na boku, gdy obaj mężczyźni wdali się w rozmowę o interesach i kryzysie.

— Nie taka młoda wilczyca straszna, jak malują — powiedziała Stradecka śmiejąc się.

— To o mnie? — spytała Weronika, by się upewnić.

— Aha.

— A kto maluje?

— Ciocia Emilia.

Mało Ropusze szukan w domu — pomyślała Weronika. Głośno powiedziała:

— Nie mam, niestety, przyjaciółki w teściowej.

— Ja w swojej też nie, ale na szczęście nie mieszkam z nią. Niech się pani nie przejmuję. Proponuję, żebyśmy jako nieulubiane synowe mówiły sobie po imieniu.

— Z przyjemnością.

Ten przyjazny gest Stradeckiej ujął Weronikę za serce. Postanowiła odplacać się jej życzliwością, gdy będzie mogła. Na razie żadnych możliwości nie widziała.

Prezentacyjne wizyty przyprawiały Weronikę o tremę, gdyż zdawała sobie sprawę, że jest oceniana. Spokojna o swą sprawność umysłową, nie mogła być równie pewna siebie pod względem towarzyskiej oglądy i obycia z kulturą. Już w Rudniku podpatrywała uważnie obyczaje letników, a zwłaszcza Ireny. Teraz musiała to robić z jeszcze większą uwagą, by nie ośmieszyć siebie i Juliana błędami zachowania albo ubioru. W kulturze zaś samo obserwowanie warszawian wystarczyć nie mogło. Tu trzeba było po prostu podciągnąć się — i to wyżej niż do poziomu męża. Julian nie interesował się kulturą i wcale tego nie ukrywał, ale jemu — rodowitemu warszawianinowi i przedsiębiorcy — uchodziło to od biedy. U niej natomiast takie samo nieobycie byłoby zapewne wykpiwane jako prostackość prowincjuszki.

Wymuszała przeto na mężu niedzielne wyprawy do kin i teatrów. Starala się też czytać regularnie gazety i słuchać radia. Ponieważ słuchawki odbiornika w salonie okupowała wieczorami pani Emilia, Weronika nakłoniła Juliana do kupna drugiego aparatu i zainstalowania go w ich pokoju. Z początku wszystko było dla niej ciekawą nowością. Z czasem jednak zaczęła stwierdzać, że wymyślone przez autorów opowieści obchodzą ją o wiele mniej niż prawda o świecie i życiu. Cóż z tego, że artyści pięknie odgrywali różne zdarzenia i rozmowy, skoro były to wymysły, niekiedy mało prawdopodobne? Rzeczywistość (informacje o niej), wiedza, z której można wyciągnąć naukę i pożytek dla siebie — to interesowało ją najbardziej. Tego też szukała w radu, gazetach i kronikach przed filmami. O reszcie chciała wiedzieć tylko po to, żeby nie uchodzić w towarzystwie za ignorantkę nie obytą z kulturą.

Pani Emilia miała coraz mniej okazji do wytykania synowej błędów w zachowaniu — złych manier, jak je nazywała. Weronika starała się po prostu wytrącać jej z ręki broń, pozabawiać pretekstów do uwag i docinków na temat wychowania. To było osiągalne, bo manierami rządziły jednak pewne reguły — w przeciwieństwie do prac domowych, gdzie wszystko da się zganić, jeśli komuś na tym zależy. Tam pozostawało Weronice tylko zobojętnieć na ciekawą jak krople wody perory teściowej.

Stefek, także strofowany przez panią Emilię, ciął sercem ku nowej matce, mimo — a może tym bardziej dlatego — że było mu to zabronione. Od dawna zaprzyjaź-

niony z Weroniką, miał w niej teraz również towarzyskie niedoli. Wprawdzie Weronika nigdy się w obecności Stefka nie skarżyła, chłopiec musiałby jednak być ciekawym, żeby nie orientować się w domowych stosunkach. Zwłaszcza że pani Emilia swojej niechęci do synowej wcale nie ukrywała. Ostatnio Stefek poczuł się już na tyle stroniakiem macochy, że informował ją o niektórych rozmowach z ojcem. Weronice niezręcznie było tego słuchać, ale nie kłamała szczerości Stefka. Dowiadywała się z tych relacji, że Julian bierze ją w obronę. To było krzepiace, gdyż dowodziło, że w sprawie swego małżeństwa Julian nie poddaje się zniechęcającemu oddziaływaniu matki. Przeciwnie nabiera jakby odwagi w sprzeciwianiu się jej. Z donosów Stefka wynikało, że kwestionowane były między innymi wydatki Juliana na ubiory nowej małżonki. Pani Emilia przypomniała kąśliwie, że Weronika sprowadziła się na Wileńską z dwiema zaledwie walizkami dobytku. Julian odpowiadał, że nie wydaje obecnie na potrzeby żony więcej niż za życia Ireny, której matka nie uważała za rozrzućną ani strojałistę.

Po prawie roku małżeństwa Weronika stwierdzała z wewnętrznym zawstyżeniem, że nadal jest to — po jej stronie — związek bez miłości, z wyrachowania. Julian ciągle nie wyzwał w jej sercu tego ciepła, jakiego doświadczała przy spotkaniach z Romkiem Wrociewiczem. A przecież nawet tamtego sentymentu nie uważała za miłość.

MALŻEŃSTWO

Jerzy Jesionowski

o której piszą, że przenika całą duszę szczęściem albo tęsknotą. Tak mocnego uczucia nigdy dotąd nie zaznała, Julian zaś nie był chyba tym, który mógłby je w niej kiedykolwiek rozpałić. Na dodatek nie pasowali do siebie seksualnie. Po nieudanej nocy poślubnej nie się pod tym względem nie zmieniło. Julian szybko zaspokajał siebie, pozostawiając młodą żonę bez erotycznej satysfakcji, w stanie daremnego podniecenia. Nie śmiała mówić z nim o tym, bo i temat był wstydlivy, i nie chciała mu się wydać nienasyconą miłośnicą. W kręgu dziewczyn i kobiet z Rudnika nigdy się o takich rzeczach nie rozmawiało, nawet pod nieobecność mężczyzn. Przy spowiedzi zaś ksiądz potępiał same myśli o tym jako rozpustne.

Zbliżała się właśnie Wielkanoc, trzeba było iść do spowiedzi. Weronika nie zamierzała jednak wywnętrzać się przed księdzem ze swego nieudanego współżycia z mężem i myśli o tym. Nie uważała ich za grzech. Była przecież mężatką, a nie zakonnice, która sprzeniewierzałaby się Bogu każdym erotycznym zachęceniem. Spowiedź stawiała ją natomiast wobec trudnego dylematu innego rodzaju. Nosila w duszy ciężki grzech, który mogła księdzu wyznać, lecz bez wzbudzenia w sobie skruchy i postanowienia poprawy. Grzechem tym było pragnienie, by teściowa jak najrychlej umarła.

Myśl, żeby w ogóle nie iść tego roku do spowiedzi, odrzuciła. Niedopuszczalne wydało się jej jednak także kłamstwo wobec księdza: nieszczerze zapewnienie go o skrusze i zamiarze poprawy. Uzyskane tym sposobem rozgrzeszenie byłoby przecież nieważne przed najwyższym sędzią: Bogiem. Gorzej — stanowiłoby grzech nowy, bodaj jeszcze większy.

Poszła do spowiedzi z postanowieniem zrzucenia tego dylematu na barki księdza. Wyszepiała w jego ucho gryzącą prawdę.

— Pragnę śmierci swojej teściowej. Ale nie potrafię się zdobyć na żal za ten grzech ani przyrzec poprawy.

Jej otwarte wyznanie zaskoczyło widać księdza, bo miledzał przez chwilę. Potem spytał:

— Dlaczego pragniesz jej śmierci?

— Bo póki ona nie umrze, moje życie będzie udręką. Nie chciała mnie jako synowej, a teraz się mści.

— Może za mało czynisz, żeby ją zjednać.

— Robię wszystko, co mogę. Jestem posłuszną, pokorną i wykonuję całą domową robotę. Ale żeby ją zadowolić, musiałabym przestać istnieć, a z okna przecież nie wyskoczę.

— No, tego ci nie wolno, to byłby grzech najcięższy — zaoponował spiesznie ksiądz.

— Innego wyjścia nie ma. Albo ona musi umrzeć, albo ja. A ja noszę w sobie dziecko, więc zabiłabym dwie istoty.

Ksiądz znowu popał w zakłopotanie. Milczał jeszcze dłużej niż przedtem. Wreszcie oznajmił:

— Twoje pragnienie jest grzechem. Może być odpuszczone tylko wtedy, jeśli wzbudzisz w sobie skruchę i postanowienie poprawy.

— Wiem. Ale przymuszałam się i nie potrafię, to ponad moje siły.

— W takim razie nie mogę ci udzielić rozgrzeszenia. Nie wolno mi.

— To co mam zrobić?

— Modlić się do Boga, żeby zesłał ci łaskę skruchy. Kiedy to nastąpi, przyjdź powtórnie do spowiedzi.

Weronika modliła się o skruchę jeszcze tego wieczora, lecz nie została wysłuchana. Złe pragnienie nie opuszczało jej, tkwiło w duszy jak wrośnięte w nią. Ponowiła modlitwę nazajutrz, ale także bez skutku. Pozostawało jej żyć w grzechu, póki teściowa nie umrze. Nie wiedziała wszakże, czy wtedy, gdy złe pragnienie ustanie, grzech będzie odpuszczony. Iść z takim pytaniem do księdza nie miała odwagi.

Pani Emilia zastrzegła po sprowadzeniu się Weroniki, że nie chce sobie w domu wizyt jej rodziny. Weronice przyszło było powiedzieć to swoim w Rudniku, nie musiała bowiem skwitować afrontu godnie. Bez łaski, nie zabiegaliśmy o ten honor. Weronika odwieściła ich po ślubie trzykrotnie. Teraz, na Wielkanoc postanowiła zabrać ze sobą męża. Tak właśnie należało określić postanowienie. W kwestiach domowych poddana całkowicie władzy teściowej, kompensatę znajdowała w stosunkach z mężem. Odkąd Julian wymógł na matce, by nie wtrącała się do wewnętrznych spraw ich małżeństwa, Weronika czuła się na tym polu pewnie. Była po prostu świadoma swej siły wynikającej z tego, że Julian jest w niej zakochany a jednocześnie słaby nawykły do uległości. Przynajmniej pod tym względem władczy charakter jego matki działał na korzyść żony. Weronika wiedziała, że może wymóc na mężu wszystko — prócz buntu przeciw matce. Gdy zaproponowała mu wielkanocny wyjazd do Rudnika, odpowiedział zgodnie: dobrze, kochanie.

Rodzina Sitaków świętowała tę Wielkanoc w pełnym składzie: nieobecny przed rokiem Wladek wrócił właśnie z wojska. Na stołarskich zarobkach ojca odciskał się już kryzys. Ceny produktów rolnych spadły, wieś miała jeszcze mniej pieniędzy niż dotąd, zamówienia się kurczyły. Na świątecznym stole znalazło się jednak wszystko, co trzeba.

Wizyta zamożnego zięcia nie pozwalała rodzinie Weroniki obnażać domowej biedy.

Weronice przyszło za to zaznać wstydu z innego powodu. Ojciec lubił sobie popić zawsze, gdy miał okazję, święta zaś były po temu sposobnością nieodpartą. Julian przeciwnie: nie czuł pociągu do wódki, a u innych go potępiał. Gdy więc ojciec zaczął napełniać kieliszki w ostrym tempie, Weronika zauważyła na twarzy męża niechęć i mękę. Postanowiła w to wkroczyć.

— Tato, przestań już nalewać wódkę — poprosiła. — Julian pije mało, a ja też mam dosyć.

Ojciec szczerze się zdziwił.

— Przecież dopiero zaczęliśmy — powiedział.

— Nam wystarczy. A tobie też nie zaszkodzi, jeśli się powstrzymasz.

— Powstrzymuję to ja się przy robocie. Ale żeby w święto, to już przesada.

— Ja jednak proszę.

Ojciec zawahał się, z jego oczu wyczierała ciężka walka z sobą. Prośba Weroniki zwyciężyła w tym zmaganiu polowicznie.

— Dobrze, wam mogę nie nalewać, ale ja jestem już za stary, żeby się odzwyczajać.

Po dwóch dalszych kieliszkach ojciec nabral śmiałości wobec zięcia. Znowu usiłował mu nalewać, pozwalając sobie na wątpliwe w męskość abstynentów. Weronika poczuła, że się czerwieni. W jej umyśle przytyk kojarzył się z niefortunnym pożyczaniem intymnym. Zdecydowała się na stanowczość, przekraczając swe uprawnienia wobec własnego ojca.

— Tato, jeśli nie przestaniesz pić, odejdziemy od stołu.

Na twarzy ojca pojawiła się jakby chęć skarcenia Weroniki, lecz pohamowała go matka.

— Dosyć, Józek. Robisz nam wstyd w ten świąteczny dzień.

Matka zabrała wódkę ze stołu. Ojciec poderwał się na krześle, by temu przeszkodzić, lecz przytrzymał go Marian.

— Tato, daj spokój.

Ojciec siadł z powrotem i przycichł. Nastrój przy stole był już jednak zepsuty, a Weronikę dalej trawił wstyd. Gdy po posiłku znalazła się sama z Julianem, powiedziała:

— Przepraszam cię za ojca.

— Nie przejmuj się. Wiem nie od dziś, że lubi sobie popić.

W drugi dzień świąt Weronika zaczęła od rana intuicyjnie czuć, że będzie wnet rodzic. Wzdłuż kalendarza było na to za wcześnie, ale niewiele. Zwierzyła się ze swego przerwania mężowi.

— Wracamy przedpołudniowym pociągiem — zdecydował bez wahania Julian. — Powinnaś rodzic w szpitalu, a nie tutaj.

— Też tak myślę.

Ze względu na powód przyspieszonego odjazdu nikt z domowników nie usiłował ich zatrzymać. Wiedząc o pragnieniu obojga wszyscy życzyli im córeczki.

Przy dojeżdżaniu pociągu do Warszawy Weronika wiedziała już, że przerwienie jej nie zawiodło. Na dworcu doszła do wniosku iż lepiej będzie nie wstępować do domu, tylko od razu spieścić do szpitala. Wsiadła do taksówki Julian wyglądającym się rozwiązaniem. Jednakże czekać na nie w szpitalu nie pozwolono mu.

Kwadrans przed piątą Weronika urodziła swoje pierwsze dziecko.

— Córeczka? — spytała położną pochyloną nad niemowlęciem.

— Nie synek — usłyszała w odpowiedzi.

Fragment powieści słożonej do druku pt. „Lepsze życie”.

jest babą
czarownicą
i czort sam wie kim
ona jest
ma sto i więcej twarzy
i lat doświadczenia
a ty znasz ją tylko
od święta kiedy jest
efektownie ubrana i ma
dobrze zrobiony makijaż
i dokładnie polakierowane paznokcie
i potrafi się kochać
z tobą jak żadna inna
ta baba czarownica
szalona babka
a ona ma sto i więcej
twarzy i wiele wyczerpujących
zajęć. Szkoda, że nie widzisz jej
jak gniecie kłuski do rosolu
i od czasu do czasu miewa
złe dni.

może odejść
ale nie od ciebie
jednak może tak
to co wtedy
z nami
gdybym miała odejść
odjechać bez ciebie
daleko tak
że ani dojść
ani wiadomości żadnej
przesłać
to co wtedy
serce gorące
szczerą rękę
co wtedy z tobą
gdy zieleni przybędzie
na papierze, a zszarzeją
oczy moje

i nic nie jest takie
proste
ogarnie cię wewnętrzne
ciepło
jak po jednym setkowym
na pustym żołądku
na puste ręce
jedno uczucie
to samo od lat
wytrawa jak najlepsza
whisky

tylko ten dziwny
czas
rozciągnięty w nieskończoną
samotność
i w niewyczerpaną namiętność



Rys. Edward Ingłot

to tylko zrozumienie
sytuacji ograniczone;
jak ślepy zaułek
dziesięć lat temu
więcej czy mniej
to już teraz nie ma
większego znaczenia
dla dwojga nas
dziesięć lat mniej
czy więcej ze sobą
razem
to kawał czasu
i serca
dzisiaj nie mamy
już sobie nic
do zarzucenia

Po jesienna
obezwładniająca mgła
nie ozwała moim myślom
wyjść poza uczucie
o tobie
Jednak przyjdzie pora
że uwolnię się od zgiełku
przygodnych myśli i snów
Wyjdę ze świt dni
po pasmach siwiejących
włosów
Po rzymrozkę twarzy

Spełnię toast twoim ciałem
tym winem czerwonym
krusztalem, szatanem
Zepnę dłonie modlitewnie
w światłach dla ciebie
To ja — ziemia przyjmę w siebie
Ziarno kielkujące

Co biega we mnie
nizcierpliwie dobijając się do drzwi sm
co płynie we mnie
uwięzione w sieci naczyń krwionośnych
co fruwa w okrągłej komnacie czaszki
Ja istota człowiecza
— trójkąt równoboczny
wpisany w okrąg istnienia
chcę pozbyć się kątów
i rozszerzyć w koło

DO SYNKA

Kiedy wstajesz wschodzi słońce
szczebiotliwie, różowawo
kiedy burza, deszcze, zamieć
twoja jasność rozpogadza
Wieża z klocków
miś pluszowy
duży konik na biegunach
W twoje światy mój małutki
wkradam się co dzień od nowa
kolorowe, małe słówka
w wielką tłąkę kwiatów zszrywam
i uśmiechy zbieram w serce

Właściwie w moim życiu
nic się nie zmieniło
te same ścieżki
ten sam pokój
stara szafa śpi w tym samym kącie
Jedynie syn mój
błyszczący w moim domu
jak zablakane na nocnym, niebie słońce

Ogólnopolski konkurs prozatorski

WOJEWODA lubelski Tadeusz Wilk i Zarząd Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, ogłaszają ogólnopolski konkurs na powieść i zbiór opowiadań.

W roku 1989 przypada 50 rocznica wybuchu II wojny światowej, wrześniowej kampanii obronnej, 45-lecie powstania Ludowego Wojska Polskiego, Polski Ludowej, a rok później odzyskania polskich Ziemi Zachodnich. Nasza literatura ukazała już w wielu dziełach losy żołnierzy i narodu polskiego w roku 1939 i w czasie okupacji, udział Polaków na wszystkich frontach, a także rodzenie się i kształtowanie nowej rzeczywistości w pierwszych powojennych latach oraz w minionym 40-leciu. Zarówno jednak czytelnicy i krytycy, oceniający dotychczasowy dorobek literacki w tym okresie, jak i sami pisarze odczuwają niedosyt tych dokonań. Istnieje zgodna opinia, że nawet powieści uznane za najlepsze nie są jeszcze dziełami na miarę wielkości i złożoności procesów zachodzących w tym czasie w naszej ojczyźnie.

Dlatego też, zdaniem organizatorów, istnieje uzasadniona potrzeba powrotu do wyżej wymienionej tematyki. Daje ona pisarzom okazję do wielkiej epiki, rozległości, ale także do ukazania bardziej szczegółowych wycinków polskiego losu i jego współzależności z historią powszechną i współczesnością Europy.

Organizatorzy spodziewają się utworów o najwyższych wartościach literackich, a więc takich, które dorobek naszej kultury narodowej pomnożą, ukażą w swej bogatej i skomplikowanej gamie minionie półwiecze. Ze szczególnym zadowoleniem powitane zostaną te książki, które za temat podejmą problemy powojennej rzeczywistości, z uwzględnieniem naszej najnowszej współczesności.

Kampania wrześniowa dotyczyła całej Polski, ale jej końcowa część przebiegała na rozległej Lubelszczyźnie i Podlasiu. Również ruch oporu, także ten lewicowy, w głównej swej postaci brał początek na tych ziemiach. To samo dotyczy odrodzenia się lewicy robotniczej i chłopskiej, która w roku 1944 miała zasadniczy wpływ na kształt nowej rzeczywistości. Największe bitwy partyzanckie, rady narodowe, wyzwolenie, początek nowej państwowości, działania podziemia to także Polska środkowo-wschodnia przede wszystkim. Dopowiedzeniem tego jest powstające Lubelsko-Chelmskie Gwarectwo Węglowe. Wszystko to predystynuje wojewódę lubelskiego

i Lubelski Oddział ZLP do ogłoszenia tak pomyślanego konkursu. Nie ograniczamy jednak tego przedsięwzięcia geograficznie do naszego obszaru — chodzi o cały kraj oraz o miejsca, w których rozgrywały się losy bohaterów spodziewanej prozy, a mające wpływ na ukształtowanie się ich osobowości.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

I nagroda	— 200 000 zł
dwie drugie nagrody po 150 000 zł	— 300 000 zł
trzy trzecie nagrody po 100 000 zł	— 300 000 zł
cztery czwarte nagrody po 75 000 zł	— 300 000 zł
pięć wyróżnień I stopnia po 40 000 zł	— 200 000 zł
dziesięć wyróżnień II stop. po 20 000 zł	— 200 000 zł
	1 500 000 zł

Organizatorzy starają się będą wyjednać zgodę na rewaloryzację i podwyższenie nagród do następujących wysokości:

I nagroda	— 250 000 zł
dwie drugie nagrody po 200 000 zł	— 400 000 zł
trzy trzecie nagrody po 150 000 zł	— 450 000 zł
cztery czwarte nagrody po 100 000 zł	— 400 000 zł
pięć wyróżnień I stop. po 50 000 zł	— 250 000 zł
dziesięć wyróżnień II stop. po 25 000 zł	— 250 000 zł
	2 000 000 zł

Pewną liczbę nie nagrodzonych i nie wyróżnionych książek jury rekomenduje wydawcom, których organizatorzy pragną pozyskać dla idei konkursu. Chodzi o to, aby plon tego przedsięwzięcia w roku 1989 mógł już funkcjonować w księgarniach i bibliotekach.

Konkurs jest otwarty dla wszystkich, ale do pewnej liczby pisarzy organizatorzy zwrócili się z propozycją wzięcia udziału w konkursie zamkniętym, aby zapewnić sobie ich udział. Powieści i zbiory opowiadań (stanowiące jednak odpowiednio pomyślaną całość) należy nadesłać do 30 września 1987 r. w objętości co najmniej 8 arkuszy autorskich (około 170 stron znormalizowanego maszynopisu po 30 liniach) w trzech egzemplarzach pod adresem: Związek Literatów Polskich, 20-010 Lublin, ul. Graniczna nr 9. Telefon sekretariatu konkursu: 234-49.

Prace powinny być opatrzone godłem. Do przesyłki należy dołączyć zamkniętą kopertę z tym samym godłem na zewnątrz, a w środku zawierającą imię i nazwisko, dokładny adres autora tytułu książki i to samo godło. Prace nie mogą być drukowane nawet w fragmentach. Nie mogą też uczestniczyć w innych konkursach.

Skład jury, którego członkami będą wybitni krytycy, podany zostanie uczestnikom konkursu w najbliższym czasie.

Był z nami Woysza...

UMARŁ Eugeniusz Gołębiowski 12 stycznia 1986 r. przestało funkcjonować nazwisko, jedno z najbardziej lubelskich, należące do człowieka jeśli nie zanadto znanego w życiu społecznym, to w lubelskim środowisku literackim znaczącego zarówno przez talent pisarski, jak i cechy charakteru tworzące osobowość. Osobowość szczególną. Gołębiowski nie należał do ruchliwych, lubiących znajdować się w kręgu publicznej widoczności, mimo to Jego postać odgrywała ważną rolę w tym środowisku — można powiedzieć — „na odległość”, z pozycji „outsidera”. Tak znaczną, że z Jego śmiercią u był spory kawał literackiego Lublina.

Mimo pojawienia się Gołębiowskiego na lubelskim gruncie w roku 1934 został On poznany dopiero po wojnie. Przedtem było opowiadanie „Opłatek” i powieść „Izio” nagrodzone przez krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny” — pierwsze w roku 1928, druga w 1936. Z okupacji Gołębiowski wyszedł z tomem wierszy „W on czas”. Zbiór znalazł się najpierw w przekazach prywatnych, drukiem ukazał się w roku 1946, wydany przez Instytut Pracy Nauczycielskiej, jako że Lublin przez długi czas był pozbawiony własnej placówki wydawniczej. Ale właśnie taki — jeszcze nie w szacie książkowej — już znalazł uznanie wśród interesujących się poezją, a to

jest satysfakcją autorską większą niż rozejście się książki w trybie normalnie edytorskim, więc niejako administracyjnym.

Tym archaicznym (a skłonność do archaizacji wykazywał zawsze) tytu-



Fot. Jan Urban

lem Gołębiowski wszedł w środowisko pisarskie. Ci, którzy dorosłym życiorysem obejmują ten czas, pamiętają Gołębiowskiego — dyskutanta i Gołębiowskiego — polemistę (pewna doza zadziorności w Jego charakterze też się znalazła) na spotkaniach organizowanych przez Lubelski Klub Literacki, założony i kierowany przez Juliusza Kleinera. A także Jego głos — donośny, nie wymagający dodatkowej uwagi ze strony słuchających, towarzyszący dykcji dobitnej, do pozadźwięczności przez niejednego z aktorów.

Później było trochę osobliwie. Bo i sztuka sceniczna „Magda” (rok 1946, nagroda czasopisma „Światło”) i „Bajki” i poemat sceniczny „Złote Gdańskie klucze” (rok 1947, nagroda w konkursie PWRN w Gdańsku), a także „Mistrz Twardowski” — libretto widowiska muzycznego, napisane w czasie, kiedy Gołębiowski — charakterystyczny rozrzut Jego zajęć — pełnił funkcję kierownika literackiego Teatru Muzycznego w Lublinie.

Jednakże Jego opus magnum to niezwykle ciekawa pod względem stylizacyjnym, archaizowana powieść „Dożywocie pana Woyszy”, nagrodzona przez PWRN w Lublinie. Można powiedzieć, że stała się lokalnym bestsellerem, na co złożyła się również tematyka i formalna niespodzianka. Każdy wrażliwy czytelnik odkładał ten utwór z poczuciem satysfakcji, traktując go jako frapujący tekst tak nieoczekiwanie powstały w czasie jeszcze niepełnego okrzepnięcia lubelskiego środowiska pisarskiego i wobec trudności z przedostaniem się lubelskiemu autorowi do wydawnictwa ogólnokrajowego. W postaci Woyszy widziało się zresztą osobowość samego autora. Chętną do okazywania niepoległości przyjętym i banalnym obyczajom, może nawet nieco autokratyczną, ale bez uszczupiania indywidualności i prawa do bycia sobą innym.

I wtedy Gołębiowski trafił w swój ton: powieść historyczna, opowieść biograficzna. Tam, gdzie fikcja literacka nie hasa sobie swobodnie, ale jest kontrolowana przez sprawdzalne i udokumentowane realia: „Przygody królewskiego piechura”, „Zygmunt August. Żywot ostatniego z Jagiellonów”, „Kapitan Cook”.

Ten poeta, prozaik i dramaturg nie stronił od przekładów. Szczególnie z

literatury niemieckiej, jako że ten z obcych języków opanował najlepiej. Przetłumaczył dramaty Fryderyka Schillera „Wilhelm Tell” i Henryka Heinego „Niemcy”.

Nazwisko Eugeniusza Gołębiowskiego zapisało się też na kartach lubelskiego szkolnictwa. Pracę oświatową zaczął w Prywatnym Gimnazjum Mechanicznym im. Stefana Syroczyńskiego w Lublinie i stamtąd wraz z grupą nauczycieli został przez Niemców wzięty jako zakładnik na Zamek. Po zwolnieniu pracował w szkole budownictwa. Od marca 1942 do lipca 1944 ukrywał się we wsiach Wojciechów i Niemce, prowadząc tajne nauczanie. Po wyzwoleniu został nauczycielem języka polskiego w Liceum im. Jana Zamoyskiego w Lublinie. Na podstawie pracy „Sebastian Fabian Klonowicz jako poeta rzeczywistości” otrzymał stopień doktora w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Sprawował funkcję kierownika Wojewódzkiego Ośrodka Polonistyki, a w latach 1956 — 57 był prezesem Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W Lublinie spędził pół wieku. W ciągu ostatnich lat, trochę ze względu na stan zdrowia, ale w znacznym stopniu ze względu na rotację pokoleń nie był tak widziany na terenie towarzyskim jak kiedyś, jednak dla ludzi już dziś nie najmłodszych ta twarz znajduje się w rzędzie najbardziej charakterystycznych, najbardziej typowych dla spraw lubelskiego środowiska literackiego. Ściany pokoju w Lublinie przy Granicznej 9, gdzie mieści się lokal Lubelskiego Oddziału ZLP, jeszcze odbijają echo Jego głosu, jako jednego z kiedyś tam najbardziej zdomowionych. Ile razy znajomi z Jego pobliża obiecywali sobie zebrać się, żeby porozmawiać o „starych Polakach”. Gołębiowski porozmawia już tylko z K. Bielskim, W. Gralwskim, K. A. Jaworskim i M. Bechczyc-Rudnicką...

Odszedł tamtego Lublina niejednej sprawy literackiej świadek, uczestnik i inspirator. Konwencja wspomnienia pośmiertnego jest ukazaniem najjaśniejszych, najpozytywniejszych, najbardziej ujmujących cech osobowości. Ale gdyby nawet takiej konwencji nie było, o Eugeniuszu Gołębiowskim nie można pisać inaczej...

Zygmunt Mikulski

Ostatnia rola Jana Urygi

„URODZIŁEŚ się po to, żeby chodzić w blasku. Kiedy wysuwasz głowę z jasności niebieskiej, gubisz się w obcym żywiole. Wydaje ci się, że jesteś zgubiony ale tak nie jest, bo duchy światła pomogą ci i podniosą cię w górę wbrew tobie” — tak brzmi wołanie Yvonne, ostatnie słowa ze spektaklu „Powolne ciemnienie malowideł” Jerzego Grzegorzewskiego. Możemy skierować je do wszystkich, pogrążonych w milczeniu po śmierci Jana Urygi

Przypomnijmy najpiękniejszy obraz dramatyczny z ostatniego spektaklu, w którym grał rolę SIEKIEROWEGO. Oto Profesor który w jasny i logicznie uargumentowany sposób udowadnia absurdalność istnienia zjawisk metafizycznych, wyświetla na ekranie obrazki popularnej bajki na poparcie swojej racjonalnej wiedzy. Zmienia się kolejna klatka rzutnika. Na ekranie pojawia się zdjęcie rozebranej dziewczyny w objęciach z grubym łysym mężczyzną. Cisza. Słychać po chwili cichy drżący, tragiczny głos aktora: „Moja Joasia!”, „Moje dziecko!” „Coście zrobili z moim dzieckiem?” Rzuca się na urzędnika, zaczyna go dusić. Powstrzymują go. Profesor tłumaczy, że to nieprawda co widzimy, co się nam pokazuje na ekranie rzutnika. P chwili rzucają się na niego, obalają na ziemię. Siekierowy jest już bez szans. Wszystko jest sprawnie wykonane. Dwaj sanitariusze wyno-

szą na noszach zakneblowanego aktora, któremu udaje się na moment oswojzić rękę i zerwać knebel. Krzyczy: „Wszystko to prawda, co widzieli! Drzewo jest prawdziwe! Wasza wiara w tym, co widzieli, nie w tym, co wam



Fot. Waldemar Śtepić

gadają. Pamiętaj...” Milknie, zdławiony czytając dłoń

Spektakl Andrzeja Rozhina jest nasiąknięty gorzkim pesymizmem. W bezkresnej, szarej, pustej przestrzeni oglądamy świat, który zatracił rytm czasu, zatracił wszelką świadomość wspólnoty. Wydaje się, że tu nawet nie ma ludzkiej samotności. Oglądamy „wydrążonych ludzi”, zagubionych w hałasie niepotrzebnych, pustych, zaklamanych słów, ludzi, którzy w głębi swoich „wydrążonych” serc nie posiadają już żadnych pragnień... I nagle wyławiamy pojedyncze i ważne słowa. Zjawiają się w spektaklu tęsknoty za pragnieniem miłości nadziei i wolności. Brzmia prawdziwie, przebijając się przez matowe i fałszywe parodie złota — miedziane dekoracje, wśród których wypada nam grać...

Bo przecież bohaterem „OKRETU” Stanisława Tyma jest człowiek. Wydaje mu się, że jest zagubiony w obcym żywiole, że jego okręt tonie. Ale tak nie jest. Wprawdzie wynoszą Siekierowego. Wyparto go ze sceny Usunięto jego mówienie. Ale rozumiemy jego intencje. Nie ma wśród nas Siekierowego, a Jego Nieobecność przyciąga najbardziej. Nieobecność Człowieka.

Jan Uryga, ciężko chory podczas ostatnich występów, grał swoją ostatnią, najpiękniejszą rolę. Grał nieobecność człowieka. Grał jego milczenie. W osamotnionej i pustej przestrzeni, w geście powściągliwości wyrzeczenia i niemców, przedstawiał swoją interpretację kondycji ludzkiej, udzielając nam po raz ostatni swej twarzy, spojrzenia, zmienionego cierpieniem głosu, osłabionych rąk. Dostrzegaliśmy wszyscy te gesty najprostsze i najważniejsze, jak wspólny uścisk dłoni, wsparcie kogoś ramieniem, nawet upadek i powolne podniesienie — jako gesty obronne, sprzeciw wobec niewidzialnego osaczenia

Człowiek sam wybiera swój los — mówił ze sceny. Ale wiedział, że muzyka konieczności nawija go na wrzeczono losu dotąd, dopóki czas nie użyje swych nożyc...

Waldemar Sulisz

Pocztą literacką

Piotr D. Lublin. Przyjacielu drogi! Nawet młody wiek nie usprawiedliwia tak nieczytelnego pisma. Jakże ja mam ocenić Pańskie utwory, skoro napisał je Pan tak niechlujnie, nawet Pańskie nazwiska nie mogą być pewny! Z tego, co jednak zdołałem przesyłabizować, wnoszę, że jest Pan człowiekiem wrażliwym. Może w bardziej czytelnym rękopisie, a najlepiej dla Pana i dla mnie — w maszynopisie, uda mi się znaleźć jakieś wartości. Niech Pan pomoże sobie i losowi!

Wieżyczysław P. Częstochowa. Nawet wtedy, gdy rymowanie miało tak wielkie znaczenie w poezji, łatwo dostrzegano tzw. rymy częstochowskie, czyli zbyt prostackie, z dziadowskiej ballady. U Pana nawet treść mało ważna, byle sprostała rymowi. Prosił Pan o radę? Odpowiadam: niech Pan przestanie pisać, nic z tego nie wyniknie, nawet dla Pana osobliwie.

Marek Ch. Kraków. Już po poprzednich Pańskich korespondencjach zastanawiałem się, czy aby nie powinien Pan wyrazić tego samego, co w wierszach, raczej prozą. W niejednym z tych krótkich utworów Pan jakby opowiada (dla przykładu podaję ten o starej babie i dziadzie). Niech mnie Pan powiadomi, czy pisze Pan także prozą, albo czy po tej sugestii spróbował Pan prostszego zapisu? Może w tej formie uda się Panu lepiej wyrazić to, „co w duszy gra”?

Elżbieta B. Bilgoraj. Muszę Pani powiedzieć to samo, co Piotrowi D. z Lublina o nieczytelności listu. Mogę jednak domniemywać, że w wierszach tych ma Pani sporo do powiedzenia. Oczekuję większej ilości wyraźniej przepisanych utworów, abym mógł coś Pani poradzić, zorientować się w Pani możliwościach.

Józef H. Łódź. Nie ma o czym mówić
TJ

Z historii najnowszej: Gigantyczny bluff (II)

W wrześniu 1943 r. angielskie służby wywiadowcze uruchomiły tzw. System „Ultra”. Dzięki niemu można było przechwytywać i rozszyfrowywać wszystkie niemieckie depeche wojskowe. „Ultra” stanowiła angielską wersję niemieckiej maszyny szyfrującej „Enigma” i pracowała w supertajnym ośrodku Intelligence Service w Bletchley Park pod Londynem. Anglików niezwykle satysfakcjonowało złamanie kodu „Enigmy”, tylko nie chcieli się przyznać, że sukces ów zawdzięczali... Polakom.

Jeszcze przed wojną trzech młodzi polscy matematycy, Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski, współpracujący z Ekspozyturą Biura Szyfrów przy Oddziale II polskiego Sztabu Głównego, zdolali w ośrodku dekrzytażu BS-4, mieszczącym się w Pyrach pod Warszawą, rozszyfrować — prawie do końca — „sekretny” niemieckiej „Enigmy”. 24 lipca 1939 r. dwa egzemplarze polskiej „Enigmy” przekazano sojusznikom; odebrali je płk Bertrand z Biura Szyfrów francuskiego Deuxième Bureau oraz kmdr Demiston z angielskiej służby wywiadowczej. Współpraca z Anglikami trwała dalej po przeniesieniu się polskich kryptologów (po klęsce wrześniowej) do Francji, do ośrodka „Bruno” pod Paryżem, a wreszcie — do nie okupowanej części Francji, gdzie działała placówka nasłuchu i dekrzytażu „Cadix”.

I dlatego zarówno słowa Churchilla: „To właśnie dzięki uruchomieniu na wszystkich frontach placówek Broni Sekretnej gen. Menziesa (szefa Intelligence Service — MD) wygraliśmy wojnę”, jak też lapidarne stwierdzenie gen. Eisenhowera: „Zadecydowała „Ultra”, nie powinno nigdy pozostać bez komentarza, że było to w znacznej mierze możliwe dzięki pracy polskich uczonych i działalności polskiego kontrwywiadu”.

★

Odczytując bez trudu wszystkie niemieckie tajne depeche, Anglicy zorientowali się, jak niesłychanie ważnym i wiarygodnym informatorem jest dla Niemców ich działający na terenie Wielkiej Brytanii, agent „Brutus”, czyli... polski oficer Roman Czerniawski, pracujący w brytyjskim „systemie podwójnych agentów”.

Każda wiadomość wysyłana przez „Brutusa” z Anglii do płk. Oskara Reile z ośrodka Abwehry w Paryżu była natychmiast kodowana systemem „Enigmy” i przesyłana do berlińskiej centrali Abwehry z adnotacją: „Źródło — agent wyjątkowo ważny”. Oznaczało to, że wiadomości przesyłane przez „Brutusa” darzono całkowitym zaufaniem. Był dla Niemców agentem wybitnym, dostarczającym bezcennych wiadomości o przeciwniku.

I wtedy właśnie Anglicy postanowili wykorzystać „Brutusa” jako główny „atut” w przygotowywanej od pewnego już czasu Operacji „Fortitude”. Zdecydowano się na jej realizację w styczniu 1944 r., ale w czyn zaczęto wprowadzać ją w dwa miesiące później, w marcu 1944 r., gdy przygotowania do inwazji aliantów w Normandii szły już pełną parą. Krótko mówiąc: chodziło o gigantyczny bluff wobec Niemców. Należało przedsięwziąć takie działania, aby Niemcy ponad wszelką wątpliwość upewnili się, że inwazja nastąpi w rejonie Pas-de-Calais we Francji, tam gdzie Kanał La Manche jest najwęższy, a wszystkie ewentualne inne lądowania wojsk alianckich są działaniami pozoracyjnymi, mającymi na uwadze odwrócenie uwagi wojsk feldmarszałka Rundstedta od głównego natarcia armii generała Eisenhowera. Żeby zaś Niemcy taką pewność uzyskali, trzeba było „udowodnić” im, że w południowo-wschodniej Anglii, naprzeciwko Pas-de-Calais, stoi milionowa armia aliancka, szykująca się do inwazji. Armia, której nigdy tam nie było, która zaistnieć miała tylko pozornie! Słowem: armia — mijaż. To właśnie w celu przeciwstawienia się owej „armii” Niemcy mieli trzymać w pogotowiu największą liczbę z posiadanych we Francji swych 60 dywizji, największej dywizji pancernych, nie przejmując się „incydentem” w Normandii.

Trzeba było — jak się już rzekło — stworzyć armię nie istniejącą. I taką armię Anglicy „zorganizowali”. W wyobraźni, na papierze, w eterze, i — w meldunkach szyfrowych superagenta niemieckiego „Brutusa”.

Owa „armia” nazywała się „First U.S. Army Group (w skrócie: „F.u.s.a.g.”)

— i Amerykańska Grupa Armii. „Składała się” z dwóch armii: 1 Armii kanadyjskiej oraz 3 Armii amerykańskiej. Razem — „stanowiło to” dwadzieścia dywizji, w tym — pięć pancernych. Milion ludzi — pod dowództwem słynnego amerykańskiego generała Pattona.

Nieprzypadkowo zdecydowano się na „powierzenie” Pattonowi tak trudnego, odpowiedzialnego i skomplikowanego działania, jak „inwazja” na Pas-de-Calais. Gen. George Smith Patton, liczący wówczas 59 lat, był doskonałym, doświadczonym dowódcą, a zarazem postacią niezwykle barwną, znaną doskonale w całym wojsku alianckim. Umiał nawiązać kontakt z żołnierzami (co zawdzięczał m.in. swemu przebogatemu — jędrnemu i dosadnemu „żołnierskiemu” słownictwu, którego zwykł używać w każdej okazji, nie tylko na pierwszej linii frontu), przede wszystkim jednak posiadał doskonały wojenny życiorys. W czasie I wojny

gólnymi „jednostkami”, prowadząc nawet między sobą „kłótnie” (na szczeblu batalionu czy kompanii) na temat niedostatecznego zaopatrzenia, organizacyjnego balaganu itp. Puste angielskie lasy i pola rozbrzmiewały w eterze życiem setek tysięcy żołnierzy... Wreszcie — od dawna rozszyfrowanym i kontrolowanym przez Anglików niemieckim agentom nakazano czynić w ich raportach dla Abwehry ciągle aluzje co do istnienia 1 Grupy Armii gen. Pattona. Poza tym wszystkim wciąż nasilały się bombardowania lotnicze na pozycje niemieckie w rejonie Pas-de-Calais, coraz więcej było w tamtym rejonie akcji sabotażowych ze strony francuskiego ruchu oporu. Mogły też dochodzić Abwehrę wieści o organizowaniu dywersyjnej akcji „Monika”, przygotowywanej przez polskie organizacje podziemne we Francji pospołu ze specjalnymi służbami w Anglii.

Wszystko się „zgadzało”. Tak idealnie, że szef sztabu Hitlera, generał

Tego samego dnia, 6 czerwca 1944 r., „Brutus” nadał swój „historyczny” ostatecznie mylący Niemców meldunek, mówiący o tym, że przed kilkoma godzinami widział króla Jerzego VI Winstona Churchilla i gen. Eisenhowera w bojowej kwaterze dowódcy 1 Amerykańskiej Grupy Armii, gen. Pattona, w Dover.

Jeszcze 10 czerwca 1944 r., gdy w Normandii walczyły już setki tysięcy alianckich żołnierzy, Hitler nie tylko nie zgodził się na uszczuplenie stanu wojsk niemieckich zgromadzonych na północy Francji, ale, co więcej, nakazał jak najszybsze skierowanie dwóch stacjonujących w Polsce pancernych dywizji SS, do Francji w rejon Pas-de-Calais. Chciał być szczególnie dobrze przygotowany na powitanie Pattona...

★

Przez pewien jeszcze czas „Brutus” karmił Niemców nieprawdziwymi wiadomościami mającymi podtrzymywać ich wiarę w realność istnienia 1 Amerykańskiej Grupy Armii i w oczywistość nadciągającej od strony Dover wielkiej inwazji. A to wynikały jakież

Operacja „Fortitude”

Mirosław Derecki

światowej pełnił funkcję adiutanta naczelnego dowódcy wojsk amerykańskich we Francji, gen. J. Pershinga; następnie powierzono mu dowództwo 1 amerykańskiej brygady czołgów. Po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do obecnej wojny dowodził kolejno brygadą, dywizją i korpusem pancernym, a w 1942 r. — amerykańskim zgrupowaniem bojowym podczas lądowania aliantów w Afryce. Na Sycylii dowodził 7 Armią amerykańską.

★

Tak więc głównym informatorem Niemców i dostarczycielem wiadomości na temat 1 Amerykańskiej Grupy Armii miał być „Brutus”. Dlatego natychmiast po zdecydowaniu się na rozpoczęcie Operacji „Fortitude” został on oficjalnie „odkomenderowany” przez polski Sztab Generalny, gdzie dotychczas pracował, jako polski oficer łącznikowy — do sztabu generała Pattona i sztabu gen. Eisenhowera. Taka „pozycja” miała dawać „Brutusowi” nieocenione „możliwości” uzyskiwania tajemnych wiadomości wprost „z pierwszej ręki”. Teraz poprzez eter zaczęły płynąć do pułkownika Reile w Paryżu sząstne raporty „Brutusa” na temat 1 Grupy Armii gen. Pattona...

Lecz przecież — tak jak w poprzednich miesiącach i latach jego działalności — Niemcy mogli chcieć sprawdzić wiarygodność informacji „Brutusa”. Dlatego nie ograniczono się jedynie do meldunków radiowych niemieckiego superagenta. Towarzyszył im odpowiedni kamuflaż „naziemny”, swoista „dekoracja teatralna” rozbudowana przez Anglików na nieprawdopodobną wręcz skalę. Zamówiono w Stanach Zjednoczonych setki wykonanych z cienkiej gumy makiet czołgów, samolotów, dział samobieżnych, w wielkości naturalnej. Po dostarczeniu krytymi ciężarówkami, w zapieczętowanych skrzyniach do odpowiednich „rejonów koncentracji” w południowo-wschodniej Anglii wszystkie te „pojazdy bojowe” — nadmuchiwano i ustawiano, „zamaskowane” w miejscu obozowania ich „mających” jednostek. Wykonywane przez niemieckie samoloty zwiadowcze zdjęcia „potwierdzały” niezbitą obecność w polu dywizji pancernych. Aby „usatysfakcjonować” z kolei niemiecki wywiad radiowy — w „rejonie koncentracji” 1 Amerykańskiej Grupy Armii krążyły umieszczone na samochodach angielskie i amerykańskie wojskowe krótkofalówki, pozorując wymianę rozkazów i meldunków między poszcze-

Jodli, miał się wyrazić o raportach „Brutusa” z najwyższym uznaniem: „Praca tego agenta pozwala nam dokładnie prześledzić plan przygotowywanej przez aliantów inwazji”.

Operacja „Fortitude” była absolutnie „szczelna”; nawet generał de Gaulle nie znał prawdy o gigantycznym bluffie!

★

Nadszedł wreszcie ów słynny „Najdłuższy dzień” — dzień inwazji aliantów w Normandii, 6 czerwca 1944 r., przed świtem, zrzucono w Normandii trzy dywizje powietrzno-desantowe mające zabezpieczyć oba skrzydła rejonu lądowania, a o godzinie 6.30 rano lądować zaczęły pierwsze oddziały 1 Armii amerykańskiej i 2 Armii brytyjskiej na 80-kilometrowym odcinku wybrzeża pomiędzy Quineville a ujściem rzeki Orne, starając się uchwycić pięć planowanych przyczółków: „Utah”, „Omaha”, „Gold”, „Juno” i „Sword”. W ciągu najbliższego tygodnia miało na normandzkim brzegu wylądować 16 dywizji (w tym dwie pancerne) pierwszego rzutu wojsk alianckich: ponad trzysta tysięcy ludzi i 54 tysiące różnego rodzaju pojazdów! Lądowanie wspierało 11 tys. samolotów bojowych i 2 tys. transportowych; w desancie brało w sumie udział 5 tys. okrętów i 4 tys. statków transportowych.

W czasie, gdy w Normandii zaczęły lądować pierwsze oddziały desantowe, Niemcy mieli tam 9 dywizji piechoty i 1 dywizję pancerną. Na skutek różnicy zdań pomiędzy feldmarszałkiem Rundstedtem, głównodowodzącym wojskami niemieckimi we Francji, a generałem Blaskowitzem, dowódcą Grupy Armii „G” stojącej na Riwierze i na wybrzeżu Zatoki Biskajskiej, większość niemieckich jednostek pancernych pozostawała w odwodach. Było to wynikiem kompromisu pomiędzy poglądami obydwu dowódców na sposób, w jaki miała być odpięrana inwazja aliancka.

Dowiedziawszy się o lądowaniu wojsk alianckich w Normandii von Rundstedt kazał natychmiast wyruszyć tam dwóm dywizjom pancernym, znajdującym się w odwodzie o sto kilometrów od rejonu desantu.

Rozkaz zaczęto niezwłocznie realizować, ale już po niespełna godzinie nadszedł z Berlina specjalny rozkaz wydany przez gen. Jodla, aby dywizje te... zawrócić z marszu. Miały być potrzebne w odpięciu inwazji... w Pas-de-Calais!

nagle, nieprzewidziane przeszkody w jej rozpoczęciu, a to rodziły się jakieżś rozbieżności zdań i poglądów pomiędzy Eisenhowerem i Montgomerym... Jaki był efekt tego wszystkiego — wiemy już z historii.

Jeszcze przez dziesiątki lat po wojnie wiadomości dotyczące szczegółów Operacji „Fortitude” pozostawały (a niektóre, może i po dziś dzień, pozostają) tajemnicą sztabów wojskowych i służb wywiadowczych.

A co się stało z „głównymi bohaterami” tego niezwykłego przedsięwzięcia wywiadowczo-kontrwywiadowczego?

Jeśli chodzi o płk. Oskara Reile, to w swej wydanej w Monachium, w 1962 r. książce — „Geheime Westfront. Die Abwehr 1935—1945” nie chwali się „doświadczeniami” ze zwerbowanym przez siebie superagentem „Brutusem”.

Co się zaś tyczy samego „Brutusa”, alias „Armanda”, czyli Romana Czerniawskiego, to po czterdziestu latach milczenia zdecydował się w 1985 r. udzielić w Londynie swym miejscu zamieszkania, obszerne wywiadu dziennikarzowi francuskiego „Paris Matcha”, Michelowi Leclercq, na temat: kim był i czego dokonał „Brutus”. „To prawda — zwierzył się w którejś chwili swemu rozmówcy — że cały sukces Operacji „Fortitude” zależał w pewnym kluczowym momencie od dwóch osób: hiszpańskiego agenta Garbo oraz ode mnie. Odegrałszy naprawdę rolę historyczną! Ale to wszystko zdarzyło się tak bardzo dawno temu... I kiedy myślę dzisiaj o tym wszystkim, co wówczas przeżyłem, sam sobie zadaję pytanie, czy to rzeczywiście JA uczestniczyłem w tej całej historii? I mam nieraz wrażenie, że raczej przypomina mi się jakiś dawno oglądany sensacyjny film, lub przeczytana książka...”

*) O działalności „Armanda” — „Brutusa” w okupowanej przez Niemców Francji a następnie „zwerbowaniu” go przez Abwehrę, pisłem w poprzednim numerze „Kamena” — MD.

(Przy pisaniu powyższego materiału korzystałem m.in. z wywiadu Michela Leclercq „L'Espion qui trompa Hitler” („Paris Match” z 13 kwietnia 1983 r.), oraz ze strony Władysława Kozaczaka — „Bitwa o tajemnice Służby Wywiadowczej Polski. Misja niemieckiej 1932—1939”, Warszawa 1977).

PRZEDSTAWIONY tekst był pisany „na gorąco”, tuż po zakończeniu Biennale w Krakowie. Uwagi w nim sformułowane mają więc charakter przyczynkowy i powstały na marginesie wystawy. Impulsem do poruszenia tych paru spraw były dla mnie pewne nieporozumienia i niekonsekwencje, wśród których tak swobodnie poruszali się uczestnicy Biennale, a które w zasadniczy sposób wpływają na mój sposób myślenia o architekturze, jej odbioru i robienia.

BIENNALE

W dniach 12—14 grudnia 1985 r. odbyło się w Krakowie I Krajowe Biennale Architektury. Biennale w założeniu obejmowało praktycznie wszystko, co można nazwać twórczą prezentacją architektury i było rozpisane na trzy dyscypliny, w których o nagrody mogli ubiegać się wszyscy z tzw. kręgu zawodowego. Trzy równoległe i niejako równorzędne dyscypliny to:

1. Konkurs na twórczą rehabilitację kwartału Starej Gazowni na Kazimierzu w Krakowie. Konkurs trwał prawie rok i nakładał na uczestników obowiązek podjęcia wszelkich decyzji dotyczących kwartału: od ustaleń programowych czy zasad funkcjonowania w sąsiedztwie i wśród zabytków aż po sposób podania projektu. Całkowicie dowolna była forma wypowiedzi, ograniczona tylko płaszczyzną o formacie 1x1 m.
2. Prezentacja artystyczna w dowolnej formie graficznej lub przestrzennej własnej twórczej definicji piękna w architekturze. Prace te tworzą wystawę, która wraz z projektami konkursu znalazła się w Pałacu Sztuki przy Placu Szczepańskim.
3. 15-minutowa wypowiedź na temat będący głównym problemem Biennale: nowa architektura w tradycyjnym otoczeniu.

FORMUŁA

Formuła, jak widać, niezwykle szeroka i nośna: formuła, która jednoznacznie stymulowała roczne prawie poszukiwania. A sam temat bardzo frapujący i ważny, szczególnie w Polsce, gdzie o tradycji mówi się dużo, ale przy okazji rocznic albo Cepenii. Uczestnicy mogli ubiegać się o dziewięć równorzędnych nagród (3x3) i szereg wyróżnień. Spośród nich wyloniono zdobywcę Grand Prix — medalu Biennale. Nagrody w większości przypadki architektom z Krakowa, a laur głównej nagrody przyznano Wojciechowi Obtulowiczowi z zespołem, także z Krakowa. Podzielałam zaszywaną opinię, że była to najważniejsza w Polsce impreza tego typu od XIV Kongresu UIA (Międzynarodowej Unii Architektów), który odbył się w Warszawie w 1981 roku.

Przyznam, że miałem wątpliwości, czy tak ogólne ramy Biennale nie mogły nakłaniać do nieczytelności przekazu na rzecz błyskotliwej grafiki. Często zdarza się, że efekty wielu przemysłu i ważnych poszukiwań projektowych autor niechętnie podaje efektownej kompilacji, ponieważ kompilacja staje się ważna dla samej siebie. Jednak nie martwi mnie specjalnie, że parę dobrych projektów mogło nie zmieścić się w formule — została ona zaproponowana przez krakowskie środowisko i mogła być przyjęta lub odrzucona. Jeżeli ktoś uważał, że prawdziwe robienie architektury jest sprawą zbyt poważną, aby bez szwanku uczestniczyć w owym jarmarku, to są inne możliwości prezentacji i celebrowania tych najważniejszych subiektywnie, czy nawet obiektywnie wartości. Oczywiście sprowadzenie przekazu na temat tworzonej architektury do formy plakatu 1x1 m nie zawsze wychodzi na dobre projektantowi, bo architektura jest to obojętne. Nieporozumienie bardziej polegało na tym, że nowa architektura w tradycyjnym otoczeniu nie zawsze znaj-

dowała interesujący kształt na pokazywanych planszach, czasem była w ogóle nieobecna, a czasem nie tłumaczyła się sama. Z natury rzeczy podobna prezentacja wymaga wieloskalowych przybliżeń i pewnej narracji. Forma tej narracji była nieograniczona. Jedynym oczywistym dla mnie nośnikiem takiego przekazu była poetyka i wydaje mi się, że takie były intencje organizatorów. W tym też zawierała się odrębność w polskiej skali i szansa Biennale, które wielu kojarzyło się z Biennale di Venezia, co, moim zdaniem, jest tylko pochlebstwem. Może nawet w polskich warunkach jest to formuła jedyna. Dotyczy to oczywiście wszystkich trzech dyscyplin. Metafora jako nośnik wielowarstwowych przekazów w dziedzinie architektury nie jest zbyt często wykorzystywanym środkiem, stąd niewiele zmieściło się w tak rozumianej prezentacji.

KONKURS

Tak więc kwestia formuły powinna być chyba poza dyskusją, natomiast co do rozstrzygnięcia konkursu na temat ambitnego pytania o nową architekturę w tradycyjnym otoczeniu, to wydaje mi się, że nagrodzone prace ani o krok nie zbliżyły nas do problemu. Wydaje się, że wręcz przeciwnie: obraz został dokładnie zamazany. Bo czyż z ogólnej wrzawy o współczesną nam architekturę nie wylania się żądanie prostoty i odejścia od mechanistycznego sposobu traktowania materii projektowej? Czyż nie stało się najistotniejsze szukanie tradycyjnych wyznaczników konkretnego miejsca i form go opisujących i czy nie interpretacja tych lokalnych wartości ma stanowić impuls do tworzenia bliskiego nam otoczenia? Jeżeli coś wydawało mi się naprawdę ważne w najnowszej architekturze na Zachodzie, to właśnie przywrócenie jej lokalnych rodowodów i rehabilitacja unikalnych wartości tworzonych przez małe społeczności, wartości o skali naturalnej dla człowieka i, jak się okazuje, dzięki temu najczęściej o charakterze uniwersalnym. W pracach nagrodzonych w konkursie jedynie Studencka Pracownia Architektury wskazała możliwość adaptacji XIX-wiecznego kwartału Starej Gazowni na wielofunkcyjny, żywy ośrodek rzemiosła artystycznego w całym bogactwie możliwości od warsztatów produkcyjnych po ekspozycje i aktywne uczestnictwo zwiedzających i kupujących w życiu ośrodka. Przyznaję, że pod względem wymiaru użytkowego, a jednocześnie bardzo ludzkiego, bardzo wartościowego w warstwie znaczeń społecznych pomysł ten wydał mi się najszcześliwszy: chociaż ów kłopotliwy fragment Starego Krakowa był może bardziej ewokowany moją wyobraźnią, niż rozwiązaniem projektowymi czy sugestiami rysunków (świetnych zresztą) ilustrujących koncepcje.

Warto się zastanowić, czy sąsiedztwo żydowskiego Kazimierza — bezpośredni związek z enklawą o trudnym do zlekceważenia wpływie na kulturę Krakowa a więc i Polski — nie był może jedyną szansą lokalizacji Ośrodka Kultury Żydowskiej? Szansą przede wszystkim technicznych możliwości realizacji parkingu, hoteli, potrzebnych sal widowiskowych itp., których z natury rzeczy nie może przyjąć klasna, kamienicowa zabudowa kwartałów Kazimierza? Można dyskutować, czy pozbawienie konkursu wszelkich cech pragmatyzmu nie zaszkodziło tej konkretnej lokalizacji? Trudno chyba jednoznacznie odpowiedzieć na te wątpliwości, jednak o jednym jestem przekonany: watek żydowski powinien być pojawił się w nagrodzonych pracach. I rzeczywiście, paradoksalnie pojawił się w postaci malowniczego Żyda i Matejki jako piękny ornament pastelowego obrazka. Jest to swoisty symbol, bo tak jak ów Żyd jest jedynym czytelnym dla mnie śladem miejsca, tak jedynym znakiem, że Centrum Rzeczności jest w Krakowie, była panorama Starego Krakowa z Wawelem, użyta znów jak ozdoba projektu! Natomiast rodowodu form trzeba szukać za oceanem — dosłownie i w przenośni.

Po jednym stylu międzynarodowym mamy następny. Mentalność się nie zmienia, zmieniają się tylko formy. Zastanawiam się, czy potrafiłbym wskazać elementy odrębności, o którą wal-

czę, bez posadzenia o płaski historyzm czy eklektyzm. Otóż nie chodzi mi o nakłanianie do cytowań czy historyzmów, bo oczywista jest dla mnie konieczność formułowania nowych elementów współczesnego nam języka architektury bez uciekania się do dosłowności, nieraz bardzo ryzykownej. Jednak podejrzewam, że właśnie to powinno być przedmiotem kreacji i dociekań twórczych. Może efekty poszukiwań nie byłyby tak perfekcyjne warsztatowo, jak zaprezentowały nagrodzone prace, ale droga prowadziłaby o wiele dalej. Oczywiście jest to bardzo trudne... Nasuwa się jednak pytanie, skąd ten efekt zbiorowego zauroczenia (jak zresztą przynajmniej w werdykcie Szanowne Jury) jakby skondensowanymi formami popularnej obecnie mody? To znaczy, czy formy modne, opatrzone, nie wydają się zawsze, a szczególnie przy powierzchownym odbiorze (do jakiego zmusza przecież konkurs) lepsze, bardziej warsztatowo dojrzałe niż dalekie przetłuszczone autentyzmem możliwości? Kolejną niekonsekwencją było bezkrytyczne holdowanie pomysłom może błyskotliwym, ale cokolwiek nieświeżym: maszyna do robienia kultury — kwartał jako Kompleks Centrum Kulturalnego, czy gra inwestycyjna — zabawa (I ty możesz zostać Architektem), w której efekcie powstają propozycje kiepskie, jeśli idzie o przestrzeń i formy. Tak oto wygląda nasza interpretacja tendencji budowania przestrzeni społecznych przez obrastanie funkcjami i formami, gdzie plac jest nie abstrakcyjną kompozycją podniesioną w aksonometrii, lecz czytelnym, historycznie ukształtowanym forum, mającym granice, widoczne wloty, jasną strukturę itp. Wydaje mi się, że dążenie do pewnej „pospolitości” rozwiązań, unikanie ekwilibrystyki formalnej jest naturalnym wyrównaniem zachwianej równowagi. Może nie jest to aż tak ważne, bo interpretacja przestrzeni zawsze jest sprawą bardzo osobistą, niemniej sądzę, że w skali urbanistycznej podstawą jest zmiana akcentów — z tworzenia jednej, skomplikowanej formy na proces budowy przestrzeni społecznych w sposób naturalnie wynikający z korzeni miejsca i jego rzeczywistych warunków społecznych. I znów paradoksalnie, że proces ten stał się przedmiotem zainteresowania uczestników konkursu, lecz tylko jako wspomniana perwersyjna Gra o Starą Gazownię!

Tematu nie rozszerzam, choć uważam, że efekt tej gry powinien być dopiero początkiem działań architektów...

WYSTAWA

„Opisywanie pojęć oraz kolejne przybliżania a nie definiowanie”... — oto credo ciekawego wystąpienia Pawła Jaszczuka i Leszka Malugi, zapisanego w wyszukanej graficznie formie pełnej poezji i niedomówień. Przyjęta konwencja dopełniała i potęgowała zapis funkcjonujący, w intencji autorów — poza czasem. Cieszy mnie, że pewne myśli pojawiają się jako parabole bez słowotwórstwa pseudonaukowego. Dobrze się więc stało, że praca ta znalazła się wśród trzech wyróżnionych nagrodami. Natomiast paskudnym nieporozumieniem jest pominięcie prezentacji Rafała Winiewicza, zresztą jest to nie tylko moje zdanie.

Jak widać z Suwalskiego Parku Krajobrazu Kulturowego i Pałacu Pacy w Dowszpużdzie (woj. suwalskie), konsekwentnie się rozwija i dojrzewa ten oryginalny talent. Z duża łatwością przejmując czy to historyczne, czy naturalne formy dla potrzeb ekspresji i w pełni indywidualnego, a jak niewiarygodnie bogatego, języka przekazu. Dla mnie właśnie on, nawet bardziej niż Jaszczuk + Maluga, jest najbliższe odpowiedzi na pytanie podstawowe Biennale: przy czym jest to odpowiedź poprzez prace projektowe, niejako niezamierzona i nie konstruowana specjalnie na tę okazję. Jak się okazuje impreza, która powiodła się tylko dzięki poetyce, lekceważy najbardziej poetyckie obrazowanie, tym cenniejsze, że zakorzenione w najbliższych nam formach kulturowych. Specjalnie mnie to jednak nie martwi, bo wiem, że wartość tych prac jest poza koniunkturami czy modami.

W trzeciej z dyscyplin Biennale najciekawsze były dla mnie dwie wypowiedzi młodych architektów: Marka Wiśniewskiego i Krzysztofa Borysza. Oba głosy w dyskusji dotyczyły zasadniczych kwestii dla rozumienia architektury: oba głosy, bardzo indywidualnie lokowały się w obszarze syntez i zasadniczych rozstrzygnięć filozofii architektury. Wiśniewski w szeregu wyśtań przy podobnych okazjach draży związki biologizmu i doktryn rozwoju kulturowego czy społecznego, w kontekście historii architektury. Pojawiają się coraz częściej potrzeba usankcjonowania pluralizmu postaw może być, jego zdaniem, jedyną drogą do wyzwolenia się z obłądanej gonitwy doktryn — jedyną drogą do „wtórnej integracji” społeczeństwa postindustrialnego. Można się spierać, na ile odkrywcze jest zastąpienie wartościowania i sztywnych hierarchii potrzebą pluralizmu na wszystkich poziomach, ale pominąć tego chyba nie sposób.

Podobnie Borysz, tym razem bardzo komunikatywnie przedstawił esej o mieście — materii Wszczęświata. Pozornie dalekie od architektury rozważania mają, moim zdaniem, większe znaczenie niż parę obrazków opatrzonej patetycznym komentarzem jak na akademii w liceum, a także nagrodzone...

KOMPLEKSY

Wszystkie te nieporozumienia związane są nie tylko z dezorientacją, ale i kompleksami. Powiedziałbym nawet, że kompleks prowincjonalizmu naszego środowiska był najbardziej widoczną cechą Biennale! Fakt, że w wystawie nagrodzono dwie prace wysłane na Biennale di Venezia (gdzie przepadły), nie może być bez znaczenia. Czuję się jak świadek kolejnego występu faceta goniącego pociąg, który nie ma szans, aby go kiedykolwiek dogonić. Kompleksy mają bowiem to do siebie, że im usilniej staramy się zastąpić przedmiot kompleksów, tym większe mamy powody, aby nas nękały. Nie ma nic bardziej obcego niż polski Graves czy Rossi — jeżeli chcemy zrozumieć siebie, aby móc przekazać coś innym, to nie zrobimy tego w obcym języku. Nie trzeba przenikliwości Gombrowicza ni Witkacego, aby zżymać się przy publicznie głoszonej opinii, że są we Francji czy Włoszech zupełnie świeże prądy, których jeszcze nie znamy (jakieś kolejne post czy neo) i że gdy dotrą, to dopiero można będzie robić architekturę!

Mamy wyjątkowo bogate tradycje, tyle że nie w szukaniu własnej, oryginalnej siły, lecz w kopiowaniu mód Zachodu. Nie jestem więc specjalnie zdziwiony tym, co zaprezentowało nasze środowisko.

Ale skoro tyle tej krytyki, to może się nasunąć pytanie: dlaczego właściwie uważam, że impreza była ważna? Dlatego, że po prostu był! Przy nie istniejącej dzisiaj polskiej architekturze jako liczącej się dziedzinie kultury i kompletnym milczeniu wokół tego zjawiska (im głośniejszy w środowisku, tym ciszej w tzw. publikatorach) każda możliwość prezentacji architektów jest dobra. Tym ważniejsza, im szersza płaszczyzna potencjalnej prezentacji.

Odczucia zrodzone przez Biennale muszą być ambiwalentne, bo z jednej strony była to najlepsza z niewielu okazji do rozmów i przede wszystkim do pokazania architektury, a z drugiej rodzi jednak smutne konstatacje na temat naszych możliwości intelektualnych i warsztatowych — oczywiście wyjątki tylko potwierdzają regułę...

Tekst Bolesława Stelmacha, architekta drukujemy ze skrótami, koniecznymi z uwagi na objętość dostarczonego artykułu. (Red.)

Wielka panorama

TELEWIZJA rozpoczęła w styczniu emitowanie zapowiedzianego już wcześniej wielkiego, całorocznego cyklu filmowego — „Panorama kina radzieckiego”. Do końca roku będziemy mogli obejrzeć na małym ekranie kilkadziesiąt najwybitniejszych, najbardziej reprezentatywnych dla kolejnych etapów rozwojowych tej kinematografii, filmów. Wśród nich znajdują się takie, które nigdy jeszcze w Polsce nie były wyświetlane, lub pokazywano je we fragmentach, jako część specjalnych „retrospektywnych” filmów mających na celu przedstawić obraz epoki, lub zorientować widza, w sposób syntetyczny, w historii kina radzieckiego. Niektóre z zapowiadanych filmów znamy jedynie z opracowań książkowych i z pojedynczych fotosów. Tak więc obecna „Panorama kina radzieckiego” ma szczególny, edukacyjny wymiar dla tzw. szerokiej widowni, zaś dla ludzi związanych z ruchem dyskusyjnym klubów filmowych i dla krytyków filmowych jest prawdziwym rarytasem.

Najpierw pokazano „Czerwone diablęta” Perestianiego — film powstały w roku 1923, oraz „Aelita” Jakowa Protazanowa z 1924 r. Szczególnie pier-

wszy z tych filmów, pokazujący przygody trójki młodych ludzi walczących w szeregach Armii Konnej słynnego Siemiona Budionnego z wojskami atamana Machno na Ukrainie, cieszył się na początku lat dwudziestych olbrzymim powodzeniem wśród radzieckiej publiczności. Ciekawie fotografowany i dynamicznie montowany, obfitujący w liczne sceny batalistyczne, łączył w sobie cechy filmu przygodowo-sensacyjnego oraz historycznego i politycznego zarzeczem, nawiązując do spraw i wydarzeń, jeszcze tak niedawnych, które wielu widzom były doskonale znane z autopsji. „Czerwone diablęta” otwierały cały potężny rozdział kina radzieckiego, nawiązujący do bitewnych wydarzeń z czasów rewolucji oraz wojny domowej; nurt żywy w kinie radzieckim po dzień dzisiejszy.

Z kolei „Aelita” był filmem mieszającym się w orbicie rodzącego się właśnie kina „artystycznego”, sięgającego po nowatorskie, eksperymentalne środki wyrazu. Był zarazem bardzo swoistym filmem z gatunku science fiction (choć tego określenia jeszcze wówczas nie znano), w którym realizm dnia dzisiejszego młodego rewolucyjnego państwa przeplatał się z wątkiem fantastycznym, z racją i surrealizmem młodego rosyjskiego inżyniera konstruktora marzył o locie na Marsa, gdzie żyła społeczność podobna do ludzkiej, a jedną z przedstawicielek owej społeczności była piękna księżniczka Aelita. Film powstał w oparciu o prozę Aleksieja Tolstoja i to sięgnięcie do literatury, do utworu pisarza o wielkiej renomie, wyznaczało kolejny kierunek, tak bardzo charakterystyczny dla kina radzieckiego.

Lata 1923—1924, kiedy powstały „Czerwone diablęta” i „Aelita”, były okresem przełomowym w historii młodego radzieckiego kina. Oczywiście, narodziło się ono dużo wcześniej, wraz z Rewolucją Październikową i pierwszymi rewolucyjnymi kronikami kręconymi przez operatorów w wojskowych szynelach.

Ale gorące lata politycznego przewrotu a następnie — walki z kontrrewolucją, wreszcie: fakt, iż początkowo całość filmowego przemysłu spoczywała w prywatnych rękach, to wszystko nie pozwalało na wyklarowanie się

jakiegoś zacieśnianego charakteru now... ki film...
prywatna... Lenin...
1919 r., popisaną przez Lenina a now...
przez Lenina Komunistów oświaty zarządu nad...
i przesyłaniem fotograficznym oraz filmowym,
od ręki tej sprawy, a tworzył jedynie...
główną rolę... zarówna administracyj...
jak i artystyczną. W tych pierwszych, gorących...
powstały filmy dokumentalne tej miary, co peł...
metrażowa „Historia wojny domowej” Dżigi Wiertowa z 1921 r., lub fabularne, krótkie „Słuki” także jak...
„Czerwona gwiazda”, „Na czerwonym froncie”, „Kim...
był?” „Sierp i młot”; pierwsze scenariusze filmowe...
Włodzimierz Majański W 1919 r. reżyserzy...
Sanin i Jurij Zelobuzski nakręcili, doskonale...
krytykę i przez publiczność, film „Poli...
według znanego opowiadania Lwa Tolstoja...
dopiero ustabilizowanie się życia w kraju, powsta...
przedsiębiorstwa państwowego „Sowkino”, które...
całość produkcji filmów dano odpowiedni efekt...
karanach kin zaczęło się pojawiać coraz więcej rod...
zimy filmów fabularnych, konkurujących z panują...
dotąd powszechnie obrazami amerykańskimi, fran...
cuskimi i niemieckimi. W 1921 r. było tych radzieckich...
filmów zaledwie siedem, ale już w rok później — 12 w...
1923 r. — 49, a w roku 1925 — 65 filmów! Rok 1925 to row...
niez data powstania jednego z najwybitniejszych filmów...
w historii kina „Pancernika Potiomkina” Sergiusza Eisen...
stena. Od tej pory zaczęło być głośno o kinie radzieck...
kim na całym świecie; Eisenstein, Dowżenko i Pudowkin...
wydźwignęli kino światowe do wymiaru prawdziwej...
sztuki.

Kino radzieckie miało odąd stale w znaczący sposób uczestniczyć w rozwoju światowej sztuki filmowej. I choć w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat okresom bujnego rozkwitu towarzyszyły też lata zastoju, choć zmieniały się „szkoły” artystyczne, przychodzili nowi ludzie, a nowe pokolenia twórców dokonywały w jego łonie kolejnych „rewolucji”, jedna rzecz pozostawała zawsze niezmienna: rozpatrywanie najbardziej nawet złożonych problemów społeczeństwa i jednostki poprzez pryzmat humanistycznej perspektywy rozwoju ludzkości.

Tę cechę charakterystyczną widać już wyraźnie zarówno w „Czerwonych diablętach” jak i w „Aelicie”

M.D.

Danina od psiej doli

Marta Denys

PODNIESIONY znacznie przez Miejską Radę Narodową w Lublinie podatek od posiadania wszelkiej rasy i maści psów postawił nad psią dolą — i nie tylko — kilka znaków zapytania i wątpliwości. Chociażby: na ile wzbogaci się kasa miejska od owych podatków, na jakie cele zostaną one przeznaczone, ile — na przykład — przypadnie z tej sumy na Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami?

Odpowiedzi na nie uzyskałam w Wydziale Finansowym Urzędu Miejskiego. Otóż, w porównaniu z ubiegłym rokiem, podatek ten wzrósł z 300 złotych — za pierwszego psa — do 1000 złotych, z 450 — za drugiego psa — do 1500 złotych i z 600 — za następne psy — do 2000 zł. Do tego dochodzi jeszcze opłata sanitarno-weterynaryjna w wysokości 300 złotych.

Oczywiście, że przewidziane są ulgi i zniżki m.in. dla osób, którym towarzystwo psa jest niezbędne, na przykład — inwalidów i grupy, nieświadomych oraz 50 proc. zniżki dla m.in. osób prowadzących gospodarstwo rolne, a używających psa do jego pilnowania, oraz emerytów i rencistów, ale tylko wówczas, gdy mieszkają oni samotnie.

Rozumiejąc, iż za psie zanieczyszczenie, niebezpieczeństwo pogryzienia itp. należna jest pewna „danina”, idąca na powiększenie tzw. dobra ogółu, chcę podzielić się kilkoma refleksjami.

W Lublinie — według ubiegłorocznych danych — podatkiem było objętych około 3 tys. właścicieli psów; podatkę te przyniosły za rok 1985 — 434 176 złotych dla budżetu miasta. Niewielka to suma, prawda?

Nowy podatek powiększył ją trzykrotnie, a pieniądze przeznaczone zostaną w całości na fundusz miejski, w którym są takie stałe potrzeby, jak m.in. rozbudowa infrastruktury, utrzymanie porządku, ochrona środowiska, w tym także i schroniska dla zwierząt, usuwanie szkód, aczkolwiek nie zawsze powstałych z winy psich czworonogów. Na działalność natomiast TOZ przeznaczonych było przynajmniej w ub. roku 5 proc. z wpływów i to z opłat sanitarno-weterynaryjnych.

Jednakże problem wylaniać się będzie z innej strony. Nowy podatek, nie mówiąc już o zwiększonych kosztach psiego utrzymania, leczenia, szczepień, itp., może spowodować kolejną falę bezdomnych psów.

Oddział Wojewódzki Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Lublinie odbiera codziennie liczne sygnały o złym, częstokroć okrutnym, obchodzeniu się ze zwierzętami i ptakami. Niechęć i nienawiść niektórych ludzi do zwierząt, a szczególnie psów i kotów, dotyka także i ich opiekunów. Złośliwość, dokuczanie, szyderstwo z najsłabszych ludzkich odruchów, znaczenie się nad

czworonożnymi podoplecznymi przekraczają niekiedy wszelkie granice przyzwoitości.

Chciałoby się zapytać, kim i czym rozporządza chociażby lubelskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w tej walce? Rozporządza niewielką, aczkolwiek społecznie ofiarną, kadrą działaczy i kilkoma osobami zatrudnionymi w Towarzystwie etatowo. Na cztery „lubelskie” dawne województwa plus województwo tarnobrzesckie w sprawach interwencyjnych działa zaledwie dwoje inspektorów, w tym jedna inspektorka w mieście Lublinie i jeden inspektor w terenie. Docierają więc oni w miarę swoich możliwości do zgłaszanych wypadków indywidualnych, a także i do zakładów pracy, instytucji itp. Uświadamiają, co do sposobu traktowania zwierząt, łagodzą powstałe na temat zwierząt konflikty i spory, lub oddają wnioski na kolegium, jeśli sprawa przybiera drastyczny obrót, ratują zwierzęta i ptaki (w czasie mojej rozmowy z przedstawicielami Towarzystwa zgłosiła się Anetka Gilas uczennica III LO w Lublinie. Ona i jej rodzice zamieszkali przy ul. Wapiennej 22, a także i sąsiedzi, roztoczyli opiekę nad dzikim łabędziem, który jesienią nie odleciał, pozostał „zimować” na Bystrzycy).

Lubelskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami nie ma ogniw terenowych. Kiedyś były co prawda koła TOZ w Puławach i Chełmie, ale ich działalność wygasła, co nie znaczy, że nie ma tam, i w innych miastach, miłośników zwierząt.

Lubelskie TOZ czerpie środki na swą działalność głównie ze społecznych, dobrowolnych datków. Te 5 proc. z opłat sanitarno-weterynaryjnych to kropka, i to mała, w morzu potrzeb. Co roku wysyła się kilka tysięcy apeli o współdziałanie i udzielenie finansowego poparcia. Odpowiedź przychodzi od 70 proc. adresatów, osób prywatnych, instytucji, zakładów pracy, szkół, organizacji, dając rocznie ok. 350 tys. złotych. Towarzystwo działa w trzech komisjach: do spraw schroniska dla zwierząt, propagandy, sądu koleżeńckiego. Niewątpliwie przydałaby się bardziej rozległa terytorialnie i środowiskowo, ciekawa w formach, popularyzacja opieki nad zwierzętami, szczególnie wśród młodzieży szkolnej. To właśnie dzieciom, jako zabawka, sprawiany jest pies lub kot. Zabawa kończy się, gdy zaczynają się obowiązki wobec zwierzęcia. Wtedy najczęściej bywa ono wyrzucone. Z ładnego niekiedy szczeniaka, wyrasta „brzydki” kundel, wywozi się go więc do lasu (!). A kiedy zwierzęta te są przeszkodą w wyjeździe chociażby na wakacje lub na urlop, zamiast do schroniska — porzuca się je na szosie, przywiązując nawet do słupa, by nie wróciły... Słów brak!

Potrzebna jest bardziej aktywna działalność Towarzystwa. Nie mówię tu o sposobie traktowania zwierząt go-

spodarskich, psów-stróżów, warunkach transportu i sposobach uboju, likwidacji zbędnych miotów, czy starych, kalekich, chorych zwierząt. To osobny problem. Wypłynęła jednak kwestia bezdomnych psów: liczba ich może teraz — z uwagi na podatki — ulec zwiększeniu. Niepokój na ten temat często przewijał się w czasie naszej rozmowy z prezesem Towarzystwa, panią Zenoną Kawińską, i przedstawicielami zarządu.

Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami sprawuje (z racji swoich uprawnień statutowych) nadzór nad schroniskiem dla zwierząt na Węglinie. Zaglądam tam. Co widzę? Ten sam, stary, wilgotny, ciasny budynek dawnej folwarcznej chlewni z niewielkimi pomieszczeniami na biuro, kuchnię, klatki dla 30 psów, a na zewnątrz — na boksy i wybieg dla następnych 50 psich mieszkańców. Jest jeszcze 10 miejsc awaryjnych i to już wszystko, czym schronisko dysponuje. W 350-tysięcznym mieście!

Jestem akurat w porze karmienia psów. Dużo otrzymują raz dziennie dwie spore miski, male — jedną, też sporą, odpowiednio treściwej, sporządzonej według norm karmienia zwierząt, karmy z odpadów rzeźnych, gotowanych z makaronem, kaszą, płatkami owsianymi, świeżym chlebem, mlekiem. Codziennie myje się miski, sprząta klatki, wybiegi itp. „Psiodniówka” żywieniowa wynosi ok. 30 złotych na psią „głowę”, zaś ci, którzy chcą przechować psa przez pewien czas, placą 50 złotych dziennie (dla porównania, w Częstochowie — 200 złotych). Warunki są skromne, a może nawet i mniej niż skromne, ale wystarczające do właściwego, bezpiecznego, pod doświadczoną opieką weterynaryjną bytowania. Starają się o to także i długoletni pracownicy schroniska. Schronisko dotuje miasto w wysokości 3 mln złotych rocznie, w tym są etaty pracowników, transport, energia elektryczna itp.

Pytam kierownika, p. Ryszarda Pietrzaka, czy to wystarczy? „Nie za bardzo. Planuję w tym roku remont obiektu, wycementowanie i ewentualne powiększenie wybiegów i będę się musiał dobrze starać o dodatkowe fundusze”. „A czy są chętni na bezdomne, porzucone przez innych psieki?” W czasie mojej wizyty — jakby odpowiedział na to pytanie — były zakupy poczynione przez dwie rodziny. Cena: 300 — 500 złotych od psaka. Rasowe, według większego już nieco cennika. „Od kwietnia ubiegłego roku — liczy kierownik — sprzedaliśmy 80 psów nowym opiekunom. Nikt nie reklamował”.

W wyznaczonych terminach, ogłaszanych zresztą przez prasę, prowadzone są odłowy bezpańskich psów, blakających się po osiedlach i ulicach miasta. Zwierzętom tym, jak mnie zapewniono w schronisku, żadna krzywda się nie dzieje. Przez 14 dni bytują tu na koszt miasta, a później na koszt Towarzystwa, dopóki nie znajdzie się dla nich właściciel nowy. Czekają więc...

Problem powstaje wtedy, kiedy nie ma już miejsca, by pomieścić kolejne, wyrzucone, bezdomne psy. Stąd ta dociekliwość. Czy znajdują się jeszcze jakieś dodatkowe sumy uzyskane od podatników za domowe psy, które zasila fundusz na rozbudowę schroniska i opiekę nad zwierzętami? Stąd też i starania TOZ o uwrażliwienie społeczeństwa na dolę tych najbliższych z człowiekiem bytujących zwierząt i służących mu pracą, czujnością, wiernością...

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sorowach literackich otrzymuje interesantów kierownik działu w odtaki w godz. 14—16

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN w Lublinie ul. Ulica 4

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 1/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-03, sekretarz redakcji 218-03, dział publicystyki i literacki 218-25.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-030 Lublin skrytka pocztowa 231, pocztowe i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 167, 1986-01-31, P-4

Tajscy gladiatorzy

Dariusz Nowicki

DUZA hala sportowa wypełniona po brzegi podnieconym tłumem. Na środku hali ring bokserki otoczony wysokim drucianym ogrodzeniem zabezpieczającym przed bułkami i innymi przedmiotami rzuconymi przez bardziej zapalonych kibiców. Na ringu dwóch zawodników okłada się rękami i nogami. Każde skuteczne uderzenie nagradzane jest hucznym przez kibiców, którzy między sobą zakładają się o to, kto zwycięży.

Widok ten nie jest niczym niezwykłym w Tajlandii. W samym Bangkoku takie sceny rozgrywane są w dwóch halach sportowych aż cztery razy w tygodniu. Ołbrzymie emocje kibiców wzbudza, oczywiście, boks tajski — sportowa specjalność numer jeden tego kraju. Najlepsi są ulubieńcami tłumów, a czasem bohaterami narodowymi. Istnieje legenda, że jeden z władców Tajlandii uchronił w zamierzonych czasach kraj przed inwazją Chińczyków wzywając do walki wręcz ich najlepszych wojowników. Dzięki oszalejącemu zwycięstwu króla Tajlandia została oszczędzona przez chińskiego cesarza.

Współczesny boks tajski nie jest już sztuką walki a raczej sportem, i to sportem niezwykle brutalnym. Zawodnicy mają rękawice bokserki, ale ich stopy są gołe, a prawie 70 proc. uderzeń w walce to niezwykle silne kopnięcia wymierzane najczęściej w zebra oraz nerki. Przy częstych zwracaniach bokserzy uderzają kolanem w brzuch oraz próbują ściągnąć rękami głowę przeciwnika w dół i dopiero wtedy uderzyć kolanem w twarz. Nie ma tu miejsca na markowane ciosy i udawanie walki. Stawka jest zbyt wysoka. Zwycięzca turnieju może otrzymać nagrodę w wysokości do 10 tysięcy bathów (około 420 dolarów USA), a to się równa półrocznej pensji robotnika budowlanego. Zawodnicy rozpoczynają trening w wieku około siedmiu lat, a karierę kończą w wieku lat 30. Zaledwie kilka lat walki na ringu wystarcza, aby wyniszczyć organizm.

Całe szczęście, że sport ten zachował wiele elementów nawiązujących do tradycji i kultury tajskiej. Koło ringu jest miejsce dla orkiestry złożonej z tradycyjnych instrumentów: dwóch par długich bębnow, jawajskiego fletu i cymbałów. Wraz z dźwiękami egzotycznej melodii na ring wchodzi zawodnicy ubrani w kolorowe szorty oraz opaski na ramieniu i często na głowie, które są amuletami mającymi przynieść szczęście. Klaniają się sobie i sędziemu. Po tym powitaniu obaj zawodnicy wykonują coś w rodzaju tańca rytualnego. Najpierw kłękają i z rękami złożonymi jak do modlitwy wykonują kilka ukłonów, aby z kolei rozłożyć ręce w bok i zwracając się twarzą w

czterech kierunkach, wykonywać rękami ruchy zbliżone do ruchów skrzydeł. Następnie obaj wstają i w wolnym tempie imitują walkę z cieniem. W ten sposób demonstrują swoją klasę oraz styl swej szkoły. Dopiero po takim wstępie przystępują do walki, która trwa aż pięć rund. Prowadzi ją sędzia ringowy, a czterech sędziów punktowych ocenia skuteczność uderzeń. Po zakończeniu piątej rundy sędzia ringowy ogłasza werdykt poprzez uniesienie ręki zwycięzcy do góry.

Boks tajski w swej oryginalnej formie uprawiany jest w Tajlandii oraz w Japonii. Amerykanie byli przez pewen czas zafascynowani tą odmianą boksu gdyż w ich kraju zawody sztuk walki (głównie karate) były rozgrywane raczej w systemie bezkontaktowym, tzn. ciosy były zatrzymywane przed ciałem przeciwnika. Utrudniało to ocenę sędziowską oraz nie dostarczało dostatecznie dużych emocji żadnym z kibiców. Dopiero wprowadzenie ochraniaczy na pięści i stopy oraz kasków na głowę opracowanych na początku lat siedemdziesiątych przez Koreańczyka, pana Jhoon Rhee zmieniło ten stan rzeczy. Powstał nowy sport będący połączeniem boksu tajskiego oraz tradycyjnych sztuk walki takich jak karate, czy taekwon-do. Nazwano go full contact karate, gdyż zawody były rozgrywane w systemie pełnego kontaktu. Później nazwę zmieniono na kick-boxing. Należy jednak dodać, że boks tajski w czystej formie ma swych wielbieli na kontynencie amerykańskim oraz w Europie. Między innymi znany reżyser filmowy Roman Polański uprawia tę niecodzienną dyscyplinę.

W trakcie pobytu w Tajlandii obejrzałem turniej boksu tajskiego i zainteresowało mnie to tak bardzo, że postanowiłem zobaczyć, jak wygląda trening, aby obraz tego sportu stał się pełniejszy. Wizyta w jednej ze szkół boksu tajskiego stała się możliwa dzięki uprzejmości sekretarza ambasady polskiej w Bangkoku, który znał osobiście właściciela szkoły.

Samochód podwiózł nas pod samą bramę szkoły, ale to, co zobaczyłem, nie przypominało sali treningowej. W głębi podwórza, otoczonego murem, stał budynek mieszkalny. Z jednej strony podwórza, pod murem, znajdowały się klatki z małpami i psami. Reszta powierzchni była wybetonowana i częściowo osłonięta dachem, pod którym stał ring oraz łustra, gruszki i worki bokserki. Przy nich ćwiczyli zawodnicy wykonując błyskawiczne kopnięcia w worki oraz ciosy ręczne w gruszki. Kilka par ćwiczyło na ringu wychodzenie ze zwarcia. Pomiedzy ćwiczącymi zauważyłem trenera, który poprawiał techniki oraz poganiał opieszalych. Dwóch zawodników prowadziło luźną, treningową walkę, ale odgłosy stóp uderzających w ciało świadczyły o dużej sile kopnięcia.

Właściciel szkoły zawołał do nas trenera, pana Pay Lat, i podjął się tłumaczenia z tajskiego na angielski.

— Ilu zawodników liczy ta szkoła?

— Obecnie mamy 60 uczniów, głównie pochodzących ze wsi. Dla nich boks tajski to jedyny sposób na zrobienie kariery i pieniędzy. Większość z nich mieszka w szkole. W przerwach między treningami wykonują tu drobne prace.

— Ile czasu zajmuje trening w ciągu dnia?
— Około 3-4 godzin. Ćwiczymy dwa razy dziennie. Rano kilka kilometrów biegu, a po południu trening specjalistyczny, taki jak pan widzi teraz.

— Czy mógłby pan opowiedzieć coś o historii powstania boksu tajskiego?

— Och, Muay Thai (boks tajski) jest tak stary, jak nasza kultura. Początkowo był walką obronną, która uzyskała swój ostateczny kształt w okresie Ayuthaya (XIV wiek). Jako sport istnieje od około 70 lat, gdyż od tego czasu rozgrywane są zawody. Początkowo nie używano rękawic bokserkich, a zawodnicy walczyli dotąd, aż jeden z nich nie był zdolny do dalszej walki. Dopiero 40 lat temu wprowadzono rękawice bokserki oraz przepisy oparte o boks zachodni. Ale oczywiście, nie zrezygnowaliśmy z koni, które są tak bardzo skuteczne. Rozgrywamy około dwustu turniejów rocznie, a zawodnicy, którzy są oczywiście zawodowcami, otrzymują od 500 do 10000 bathów za jeden turniej. Oprócz tego nagrody rzeczowe za każdą wygraną walkę.

— Jakie są przepisy walki?

— Walczy się pięć rund po trzy minuty. Nie wolno wykonywać podcięć i rzutów oraz atakować leżącego przeciwnika. Nie wolno uderzać w kroczki i oczy. Atak przy pomocy pięści i stóp oraz kolan na pozostałe partie ciała jest dozwolony.

— Czy istnieje jakaś podbudowa filozoficzna oraz ćwiczenia medytacyjne w boksie tajskim?

— Nie, to nie jest potrzebne. Najważniejsza jest skuteczność w walce.

— Od jak dawna zajmuje się pan treningiem?

— Trenuję od dwunastego roku życia, a trenerem jestem już od dwudziestu lat. Wychowałem już dwóch mistrzów Tajlandii i być może wychowam następnych.

— Czy może pan porównać boks tajski do innych sztuk walki Wschodu, na przykład do karate czy kung-fu?

— Karate nie ma z nami szans! Zresztą, niech pan spojrzy. Karate uderza tak... (w tym momencie pan Pay Lat wykonał lekkie kopnięcie w powietrze na wysokości głowy). Natomiast my uderzamy tak... (i tu trener kopnął z olbrzymią siłą w dolną część worka, który wykonał obszerny łuk w powietrzu). Jeśli chodzi o Chińczyków, to oni wcale nie potrafią walczyć, ich styl za bardzo przypomina balet.

W trakcie rozmowy zawodnicy zakończyli trening, a po pewnym czasie służący przyniósł mi miski z jedzeniem. Siedli w tym samym miejscu w którym ćwiczyli przed kilkunastoma minutami i zaczęli jeść. Kiedy wychodziłem z terenu szkoły jedzenie otrzymałem również zwierzęta w klatkach po drugiej stronie wybetonowanego podwórza.

Właściwie życie tych chłopców niewiele różni się od życia zwierząt w klatkach. Trenowani i karmieni w szkole, są wypuszczani, aby stoczyć walkę i wrócić do szkoły. Po kilku latach startów są niezdolni do uprawiania sportu, czy też do innej ciężkiej pracy. Na szczęście przegrujący walkę nie musi widzieć kciuka opuszczonego w dół.

Autor jest psychologiem sportu, pracownikiem naukowym Instytutu Sportu w Warszawie. Jednocześnie 13-letnim, praktykiem walk dalekowschodnich, posiadaczem stopnia mistrzowskiego I danu w taekwon-do, b. akademickim mistrzem Polski w tym stylu.

Krzyżówka nr 3 - z szyfrem

Poziomo: 3. między śmiercią jednego a wyborem drugiego monarchy, 9. część stopy, 10. drewniany plug, 11. żak, młody członek szkolnej społeczności, 12. szpital polowy, 14. czy to śledzie, czy sardynki, 16. osłona ręki w broni siecznej, 17. spada i przewraca się za aktora, 19. sielanka, 22. tłuczeń, 24. przepis prawny uchwalony przez parlament, 27. mają je ulani, 29. występuje w czyimś imieniu, 31. chłop posiadający własne gospodarstwo przynajmniej 1-lanowe, 32. kobieca figura, talia, 34. właściciel statku, 37. pokrywka, 38. otwierane kluczami lub oblegane w czasie wojny, 39. zawartość, 40. magnat szlacheckiego rodu.

Pionowo: 1. rodzaj sieci rybackiej, 2. upór, uszkodzenie mechanizmu, 3. góry w Polsce, 4. reżyser filmowy, wieloletni kierownik wytwórni Pathé, 5. rzeczy i fakty rzeczywiste, 6. miasto w Austrii, 7. odpad skrawania metalu lub strugania drewna, 8. wydawczyni, 13. typ aktora, 15. podziałka, 18. pierwszy król żydowski, 20. rurka irygacyjna, 21. Osiedle Niewidomych na skraju Puszczy Kampinoskiej, 22. wskazuje kierunek, 23. wielobarwna po deszczu, 25. zajęcie majątku, 26. rozmiar, 28. burak liściowy, 30. samica ryby, 33. wybucha, 35. brudzący płyn lub margines społeczny, 36. wieloosobowe ciało.

SZYFR

C9, D3, M1, E17, A15, L12, H3, J8 / B1, L17, H14, N14, L15, J16, N9, H3, F1, A17 / G6, E8, C15, L14, C10 / G8, B5, O5 / C11, A7, O3 / J6, D12, H12, D2, J5, G7, K11 / H1, A16, B3 / M9, A12, L11, K10, J17 / D6, H2, J3 / C7, D13, A8, N16, O16, F15, I9, J15, H5, I8, J7, F5, J4, M11, D1 / G14, H16, L3 / N11, F11, H12, F5, A9, C17 / F12, D5, I4 / H1, A11, A5, O3, J14, L4, N17 / F1, C2, M7, G7, F10 / H2, L1 / J2, M3, K9, H17, E14, K8/

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1 Z SZYFREM

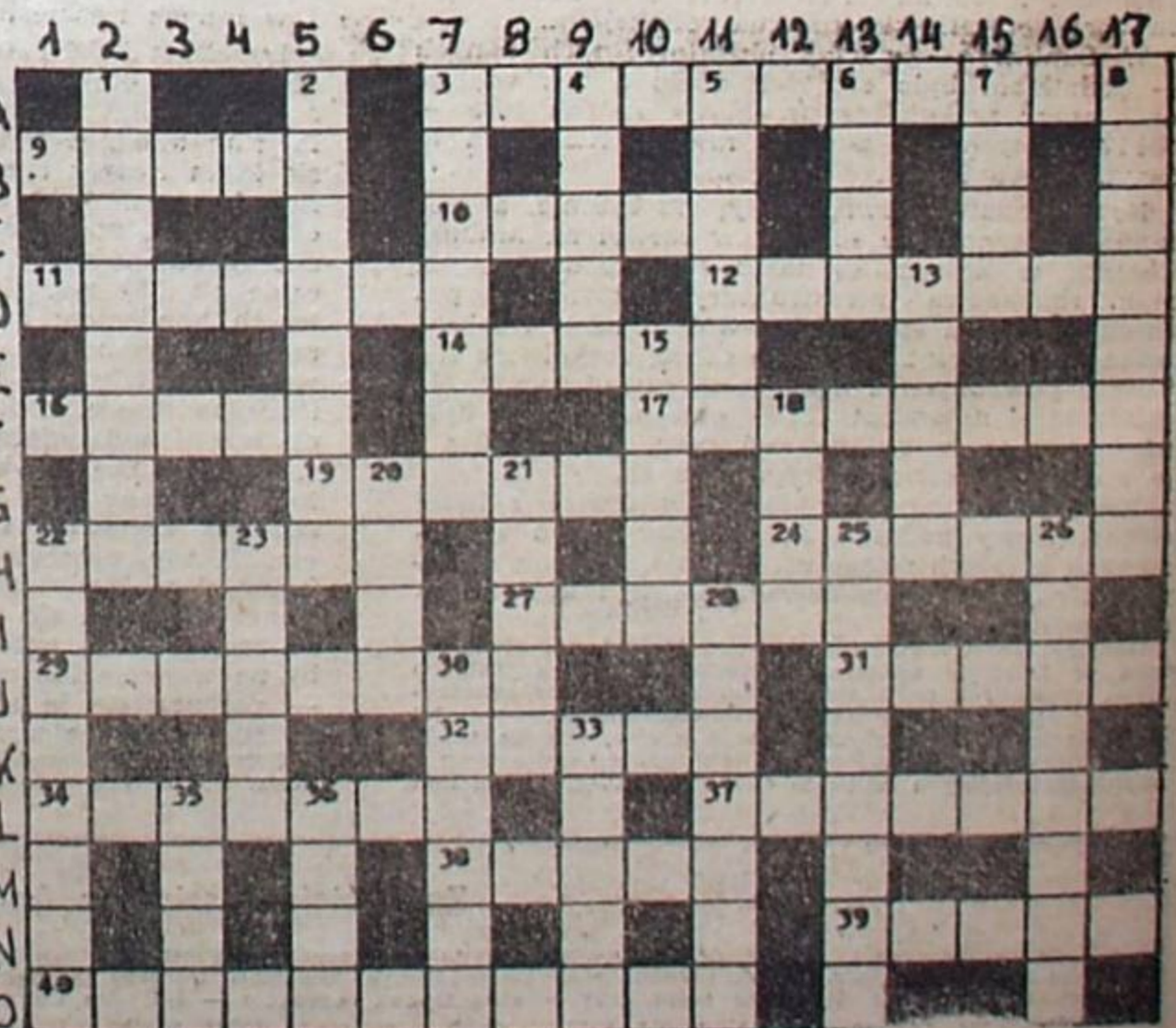
Poziomo: ćwierć części rękaw imperator górski, ziele instancja Essen, nawa, czort zdun zupy Raba, ikra, norma, plot Kijów, zapadlina Tartu, rogal, Lechistan, Aldan, Kwisa, bratek.

Pionowo: pręgiarz, Skiros, Cwilin, elektrownia, zorza, śmietana, Stec, rzepa, naturalista, jazda edykt, Nurmi, czara, Piotrków, akwalung, Petla, Karnak, jagoda, Zulus, pucz.

SZYFR

Tylko głupiec gawędzi się na zwierciadło, które odbija jego obraz.

Lion Feuchtwanger
GOYA



Nagrodę wylosował Stefan Cichata, ul. M. Buczka 24 b. m. 18, 70-463 Szczecin.